

Zamek śmierci pod Linzem

Siedzieliśmy w słusznej sprawie

KOMBATANT

BIULETYN HISTORYCZNY Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych

ISSN 0867-8952

NR 2(422) LUTY 2026



Narodowy Dzień Pamięci
Żołnierzy Armii Krajowej

Defilada Szacunku



KOMBATANT

BIULETYN HISTORYCZNY
URZĘDU DO SPRAW KOMBATANTÓW
I OSÓB REPRESJONOWANYCH

ISSN 0867-8952

nr 2(422) luty 2026



dołącz do nas na facebooku i na X

www.facebook.pl/udskior
<https://x.com/Kombatanci?mx=2>

Redakcja:

ul. Wspólna 2/4, 00-926 Warszawa

Redaktor naczelny:

Katarzyna Zientara-Majewski
e-mail: katarzyna.zientara@kombatanci.gov.pl

Opracowanie graficzne: Hanna Sater

Korekta: Norbert Nowotnik

Archiwalne numery „Kombatanta”

dostępne są na stronie www.kombatanci.gov.pl



Projekt zrealizowano
we współpracy z Narodowym
Archiwum Cyfrowym

Wydawca:

Urząd do Spraw Kombatantów
i Osób Represjonowanych
ul. Wspólna 2/4, 00-926 Warszawa
punkt informacyjny tel. 22 276 77 77
www.kombatanci.gov.pl

Druk: Centrum Obsługi Administracji Rządowej
ul. Powiśńska 69/71, 02-903 Warszawa

Nakład: 3200 egz.



w numerze

4 O Polskę wolną od komunizmu

Czy dalej trwać w oporze? Jeśli tak, to jakim? Te pytania wraz z początkiem 1945 r., gdy Polska stawiała wobec nowej rzeczywistości, zadawały sobie tysiące żołnierzy Armii Krajowej

Waldemar Kowalski

8 Armia Krajowa była instytucją, która myślała o człowieku

Paradoks bycia w konspiracji sprawiał, że dawała ona człowiekowi większe poczucie bezpieczeństwa niż bycie poza nią. Rozmowa z Sebastianem Pawliną, historykiem, pisarzem, publicystą i muzealnikiem

Katarzyna Krzykowska

12 Niezłomny do końca

Nie poległ w boju, choć walczył na różnych frontach, broniąc polskiej niepodległości. August Emil Fieldorf „Nil” – bohater wielu wojen – został zamordowany w majestacie „prawa”, w rzekomo wolnej i demokratycznej ojczyźnie

Waldemar Kowalski

16 Wiedzieliśmy, że siedzimy w słusznej sprawie

Sądziłem, że władza uszanuje ważny dla wszystkich okres religijny, duchowy i rodzinny. Zaskoczyli mnie. Rozmowa z Witoldem Siewiczem, współpracownikiem KOR i Niezależnej Oficyny Wydawniczej NOWA, internowanym m.in. w Białotęcie i Zależu

Katarzyna Krzykowska

20 Od konspiracji do „Czterech pancernych”. Dramatyczne losy Marii Hulewiczowej

Jej życie mogłoby posłużyć za scenariusz filmu – i w pewnym sensie nim się stało. Należała do ludzi, których historia wciągnęła w sam środek dramatycznych wydarzeń XX wieku. Za wierność, miłość i własne wybory przyszło jej zapłacić wysoką cenę

Dorota Gałaszewska-Chilczuk

24 Zamek śmierci pod Linzem – akcja T4 i śledztwo IPN w sprawie polskich ofiar

Zamek Hartheim koło Linzu był jednym z pierwszych miejsc w Europie, gdzie III Rzesza zastosowała gaz do systematycznego zabijania ludzi. W ramach Akcji T4 mordowano tam osoby chore i niepełnosprawne, a później także więźniów obozów koncentracyjnych

Norbert Nowotnik

28 Kryptonim „Hermes 1981” – radiowęzły przeciwko komunie

W sierpniu 1980 r. radiowęzły zakładowe zostały wykorzystane przez strajkujących w Gdańsku do transmisji negocjacji. Nic dziwnego, że kiedy powstała NSZZ „Solidarność”, sięgnęli po nie również związkowcy

Grzegorz Majchrzak

31 Biblioteka SZEFA URZĘDU

Okładka: Defilada Szacunku FOT. UD SKIOR

Szanowni Państwo,

w tym roku, 14 lutego, po raz drugi obchodziliśmy Narodowy Dzień Pamięci Żołnierzy Armii Krajowej jako święto państwowe. Po raz pierwszy ulicami Warszawy przeszła Defilada Szacunku, która zakończyła się przy Pomniku Polskiego Państwa Podziemnego i Armii Krajowej. Ten marsz nie był jedynie uroczystym przemarszem. Był symbolem ciągłości – mostem między pokoleniem wojny a współczesnością.

Chciałbym, aby to święto stawało się dniem refleksji nad dziedzictwem pozostawionym przez żołnierzy Armii Krajowej. Szczególnie w czasie, gdy za naszą wschodnią granicą toczy się wojna, historia Polskiego Państwa Podziemnego nie może być traktowana jako zamknięty rozdział w podręczniku. To raczej rezerwuár doświadczeń – źródło, z którego możemy czerpać mądrość, rozwagę i poczucie odpowiedzialności.

Żołnierze Armii Krajowej pokazali, że nawet w najciemniejszych momentach dziejów można zachować honor, solidarność i wierność wspólnocie. Udowodnili, że państwo to nie tylko granice i instytucje, lecz przede wszystkim ludzie gotowi wziąć za nie odpowiedzialność. Ryzykowali każdego dnia – w akcjach dywersyjnych, w pracy wywiadowczej, w kolportażu podziemnej prasy, w tajnym nauczaniu. Ich codzienność była służbą naznaczoną nieustannym zagrożeniem.

Zawsze obok heroizmu obecny był dramat wyboru. Każda akcja przeciw okupantowi, każda podjęta decyzja niosła ze sobą ciężar moralny. W realiach okupacji nic nie było jednoznaczne ani wolne od konsekwencji. Konspiratorzy każdego dnia musieli ważyć racje – między koniecznością oporu a odpowiedzialnością za życie niewinnych, między odwagą działania a świadomością możliwego odwetu. Byli młodymi ludźmi rzuconymi w sytuację graniczną, próbującymi ocalić nie tylko ojczyznę, lecz także własne człowieczeństwo w rzeczywistości wypełnionej strachem, głodem, bólem i cierpieniem.

Jeśli chcemy naprawdę zachować dziedzictwo Armii Krajowej, musimy uczynić je częścią naszej codzienności. Budować wspólnotę opartą na solidarności, prawdzie i wzajemnym zaufaniu. Wychowywać młodych w duchu odpowiedzialności za Polskę. Pamiętać, że siła państwa rodzi się z charakteru jego obywateli. Niech więc pamięć o Armii Krajowej będzie nie tylko hołdem dla przeszłości, lecz także zobowiązaniem na przyszłość. Niech jej etos służby, odwagi i wierności stanie się dla nas drogowskazem – abyśmy potrafili być mądrzy i odpowiedzialni nie dopiero w godzinie próby, ale każdego dnia.



Lech Parell

*Szef Urzędu do Spraw Kombatantów
i Osób Represjonowanych*



TEKST | Waldemar Kowalski

O Polskę wolną od komunizmu

Czy dalej trwać w oporze? Jeśli tak, to jakim? Te pytania wraz z początkiem 1945 roku stawiało sobie tysiące żołnierzy Armii Krajowej. Niemcy byli w odwrocie, Armia Czerwona parła na zachód, a Polska – wyniszczona sześcioma latami okupacji – stawała wobec nowej rzeczywistości.

Mijał rok od momentu, gdy wojska sowieckie przekroczyły przedwojenną wschodnią granicę Rzeczypospolitej. Doświadczenia Akcji „Burza”, dramat Powstania Warszawskiego i brutalność NKWD nie pozostawiały złudzeń: Stalin nie zamierzał respektować polskiej suwerenności.

W Komendzie Głównej Armii Krajowej dojrzewała jedna z najważniejszych decyzji w historii Polskiego Państwa Podziemnego. Po ponad pięciu latach walki z niemieckim okupantem trzeba było odpowiedzieć na pytanie, czy i jak kontynuować opór w kraju opanowywanym przez Armię Czerwoną.

Zwycięstwo sowieckie nie kończy wojny

19 stycznia 1945 roku gen. Leopold Okulicki wydał rozkaz rozwiązujący AK. Ostatni dowódca zbrojnej siły Polskiego Państwa Podziemnego nie miał wątpliwości, że Związek Sowiecki – wschodni sojusznik aliantów – będzie nowym okupantem ziem polskich.

– Postępująca szybko ofensywa sowiecka doprowadzić może do zajęcia w krótkim czasie całej Polski przez Armię Czerwoną. Nie jest to jednak zwycięstwo słusznej Sprawy, o którą walczyliśmy od roku 1939. W istocie bowiem – mimo stwarzanych pozorów wolności – oznacza to zmianę jednej okupacji na drugą, przeprowadzoną pod przykrywką Tymczasowego Rządu lubelskiego, bezwolnego narzędzia w rękach rosyjskich – oceniał generał.

Jak podkreślił: Polska, według rosyjskiej recepty, nie jest tą Polską, o którą bijemy się szósty rok z Niemcami.



Major Hieronim Dekutowski „Zapora”
FOT. DOMENA PUBLICZNA

Okulicki był zbyt doświadczonym dowódcą, aby wierzyć w kolejne zapewnienia Stalina – człowieka, który szczerze nienawidził Polaków i wszystkiego, co polskie. Najechał Rzeczpospolitą już w 1920 roku wraz z armią bolszewików, aby prawie dwie dekady później – w 1939 roku – podzielić się nią do spółki z Hitlerem. Jak można było zaufać komuś, kto kilka miesięcy wcześniej beczynn timer stał nad Wisłą, pozwalając wykrwawić się walczącym powstańcom warszawskim?

Dlatego – wyjaśniał dowódca – zbliżające się nowe zniewolenie wymagało dalszą walkę o niepodległość. Nie zmienił się więc nadrzędny cel

oporu Polaków, zmieniła się jego forma, którą należało dostosować do nowych realiów polityczno-wojskowych. Fakt, że Niemcy przestali być wrogiem numer jeden zmusił sztabowców AK do przewartościowania koncepcji walki o niepodległość. Nowe zagrożenie czyhało na Wschodzie, a w zasadzie – w znacznym stopniu opanowało już ziemie polskie...

– Żołnierze Armii Krajowej! Daję Wam ostatni rozkaz. Dalszą swą pracę i działalność prowadźcie w duchu odzyskania pełnej niepodległości Państwa i ochrony ludności polskiej przed zagładą. Starajcie się być przewodnikami Narodu i realizatorami niepodle-

Jak można było zaufać komuś, kto kilka miesięcy wcześniej beczynn timer stał nad Wisłą, pozwalając wykrwawić się walczącym powstańcom warszawskim

głego Państwa Polskiego. W tym działaniu każdy z Was musi być dla siebie dowódcą – wzywał ostatni dowódca AK.

Tego samego dnia wydano tajny rozkaz nakazujący dalszą działalność konspiracyjną. Epopeja Armii Krajowej – prawdziwego fenomenu w okupowanej Europie – dobiegała końca. Ale polski opór nie gasł. – Obecne zwycięstwo sowieckie nie kończy wojny – wyraźnie zastrzegł Okulicki.

Walczyć, ale jak?

Rozkaz sprzed 81 lat nie dotarł do wszystkich oddziałów. Nie wszędzie był też rozumiany jednakowo. Dla części żołnierzy była to zapowiedź

jeszcze głębszej konspiracji, skoro sam generał i podległe mu sztaby nie ujawniły się. Inni odczytywali słowa „Niedźwiadka” jako moralne zobowiązanie do dalszej walki. Dla jeszcze innych był to natomiast jedynie mało znaczący gest polityczny.

Wszelkim interpretacjom towarzyszył spór o dziedzictwo AK i właściwe zagospodarowanie jej spuścizny. Na ogół wychodzono z założenia, że zwierzchnik podziemnego wojska nie zdjął z poszczególnych dowódców moralnego obowiązku odpowiedzialności za własnych żołnierzy. Dalsza aktywność zbrojna, choć o zupełnie innym zasięgu niż dotychczas, wydawała się nieunikniona. Tysiące ludzi pod bronią z pewnością potraktowało słowa Okulickiego jako wezwanie do ponoszenia kolejnych ofiar za Polskę.

Delegat Rządu na Kraj Stefan Korboński informował w kwietniu 1945 roku o „żywiolowych migracjach” do lasu. Ludzie uciekali przed aresztowaniami i poborem do wojska, wierząc, że obecna sytuacja jest przejściowa. – Ten czas młodzież chce przeczekać w lesie, przynajmniej do zimy – pisał.

Jednak nie wszyscy byli gotowi na dalszą walkę. Pułkownik Jan Rzepecki, Delegat Sił Zbrojnych na Kraj, apelował o rezygnację z oporu zbrojnego i podjęcie pracy cywilnej dla przyszłej wolnej Polski. W lipcu 1945 roku wprost wzywał do „zaprzestania działań oddziałów leśnych”.

Dziesiątki tysięcy Polaków jednak nie złożyło broni, traktując dalszą walkę jako naturalną kontynuację trwającego od 1939 roku antytotalitarnego oporu. Po 19 stycznia w całym kraju zaczęły powstawać nowe struktury konspiracyjne. Józef Rybicki, były dowódca Kedywu Okręgu Warszawa, odnotował aż 1298 różnych organizacji w skali całego kraju!

– Stan ten przypominał pewne okresy powstania styczniowego, gdy władza państwowa ustabilizowana była jedynie w dużych ośrodkach, zaś w te-

renie istniała tylko iluzorycznie – tak o charakterze walki z nowym okupantem pisał Władysław Siła-Nowicki, były żołnierz AK i inspektor WiN na Lubelszczyźnie.

Wstrząsem dla Polaków pozostających w konspiracji było podstępne aresztowanie w marcu 1945 roku przez NKWD przywódców Polskiego Państwa Podziemnego, z Okulickim na czele. – Fakt aresztowania „szesnastu” w Pruszkowie utwierdził nas w przekonaniu, iż nie ma dla nas innego miejsca na ziemi niż w lesie – gorzko konstatawał Lech Leon Beynar, oficer 5. Brygady Wileńskiej AK, lepiej znany polskim czytelnikom jako Paweł Jasienica.

Tymczasem w kraju, zgodnie z wolą sądownego w Moskwie „Niedźwiadka”, schedę po AK zaczęła przejmować, i dostosowywać do nowych realiów, ściśle zakonspirowana niepodległościowa organizacja – „NIE”. Działała jednak nadzwyczaj krótko – wobec trudności związanych z rozwinięciem swych tajnych struktur, już w maju 1945 roku zastąpiła ją Delegatura Sił Zbrojnych na Kraj (DSZ). Ta ostatnia została rozwiązana w sierpniu, zaraz po likwidacji Rady Jedności Narodowej.

Niebawem komendant DSZ płk Rzepecki powołał do życia Ruch Oporu bez Wojny i Dywersji „Wolność i Niezawisłość”, znany szerzej jako Zrzeszenie „Wolność i Niezawisłość” (WiN). Była to największa zakonspirowana organizacja niepodległościowa po wojnie. Według szacunków, w latach 1945–1946 liczebność WiN wynosiła ok. 20–30 tys. zaprzysiężonych. Zrzeszenie WiN skupiało się na działalności politycznej, nie rezygnowało jednak całkowicie z walki zbrojnej.

W połowie 1945 roku w konspiracji pozostawały takie formacje niepodległościowe jak: Konspiracyjne Wojsko Polskie (KWP), Wielkopolska Samodzielna Grupa Ochotnicza „Warta”, Ruch Oporu Armii Krajowej (ROAK),



Proces dowództwa organizacji „Wolność i Niezawisłość”. Wyjaśnienia składa Jan Rzepecki, Warszawa, styczeń 1947 r. FOT. PAP

Sfałszowane referendum ludowe z 1946 roku i wybory parlamentarne 1947 roku ostatecznie przekreśliły wszelkie nadzieje na demokrację nad Wisłą

Eksterytorialny Wileński Okręg AK, a także zgrupowania partyzanckie – mjr. Józefa Kurasia „Ognia”, kpt. Henryka Flamego „Bartka” czy kpt. Antoniego Żubryda „Zucha”.

– Na każdy strzał, oddany w naszym kierunku, będziemy odpowiadali strzałami tak długo, aż w Polsce wezmą górę racje rozumu i serca nad maniactwem przekonywania wiernych synów Ojczyzny obelgami, kłamstwem i terrorem. (...) I niech nikt nie stara się poruszyć naszych sumień nawoływaniem do „budowania Polski”: według nas walka ze zdradą i bezprawiem jest fundamentem Polski – za-

powiadał kpt. Stanisław Sojczyński „Warszyc”, dowódca KWP.

Komunistyczne władze proponowały amnestie w zamian za ujawnienie się. Żołnierzy podziemia niepodległościowego kuszono perspektywą rzekomego spokojnego życia i zapomnienia ich dotychczasowych „grzechów”.

– Jakież to jednak upokarzające, że ludzie z podziemia, ci najlepsi z najlepszych, zostali potraktowani jak przestępcy, którym wybaczą się zbrodnię walczenia o Polskę. To jest po prostu haniebne... – oceniał delegat Korboński. – Amnestia to jest dla złodziei, a my to jesteśmy Wojsko Polskie! – tak na tę propozycję zareagował legendarny partyzant, mjr Hieronim Dekutowski „Zapora”.

Sfałszowane referendum ludowe z 1946 roku i wybory parlamentarne 1947 roku ostatecznie przekreśliły wszelkie nadzieje na demokrację nad Wisłą. Po tych wydarzeniach, naznaczonych powszechnym terrorem i represjami, trudno już mówić o zorganizowanym podziemiu niepodległościowym. Pozostała nieliczna partyzantka, grupy „żołnierzy wyklętych”, ukrywające się w lasach. Za symbo-

liczny koniec zbrojnego oporu przyjmuje się rok 1963 – śmierć sierż. Józefa Franczaka „Lalka”, ostatniego partyzanta poległego z bronią w ręku.

Nierówna walka

Ogółem w latach 1944–1956 w podziemiu niepodległościowym w różny sposób działało od 120 do 180 tys. ludzi. Wiosną 1945 roku na ziemiach polskich, których granice wytyczyła tzw. Wielka Trójka w Jalcie, w regularnych oddziałach leśnych służyło nawet 17 tys. żołnierzy. Przyjmuje się,

Walkę ze „szpiegami” wspierały specjalne oddziały operacyjne kontrwywiadu wojskowego „Smiersz”, odpowiadające za likwidację wszelkich „wrogich” elementów na tyłach armii



Radziecki patrol w Lublinie, 1944 r. FOT. PAP

że w połowie tego roku funkcjonowało ponad 340 oddziałów zbrojnych różnej wielkości!

Nie była to jednak siła, która mogłaby z powodzeniem rywalizować z potęgą zbrojną Związku Sowieckiego. W drugiej połowie 1944 roku na terenie tzw. Polski Lubelskiej, a więc obszarze podporządkowanym rozkazom Stalina, przebywało – zależnie od szacunków – od 2,5 do 3,5 mln żoł-

nierzy Armii Czerwonej. Co więcej, w połowie 1945 roku niemalże połowa wszystkich funkcjonariuszy NKWD stacjonujących w tej części Europy – około 35 tys. ludzi – przebywało nad Wisłą. Walkę ze „szpiegami” wspierały specjalne oddziały operacyjne kontrwywiadu wojskowego „Smiersz”, odpowiadające za likwidację wszelkich „wrogich” elementów na tyłach armii.

Walcząc z „reakcyjnym” podziemiem Sowieci korzystali z pomocy

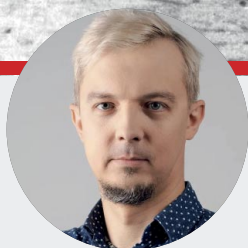
polskich komunistów. Pod koniec 1945 roku władze „ludowej” Polski dysponowały ok. 24 tys. funkcjonariuszy UB, 29 tys. oficerów i żołnierzy KBW oraz 56 tys. funkcjonariuszy MO. – *Zniszczymy wszystkich bandytów reakcyjnych bez skrupułów. Możecie jeszcze krzyczeć, że leje się krew narodu polskiego, że NKWD rządzi Polską, lecz to nie zawróci nas z drogi* – grzmiał Władysław Gomułka.

Bilans tej nierównej walki był dla żołnierzy antykomunistycznego podziemia tragiczny. Łącznie na obszarze okupowanej Polski NKWD aresztowało 65–70 tys. osób, w tym ok. 27 tys. żołnierzy AK. Tych, którzy walczyli z bronią w ręku, osadzono w obozach jenieckich, gdzie próbowano nakłaniać ich do służby w „ludowym” Wojsku Polskim. Na sprzyjających oddziałom leśnym oraz innym, którzy rzekomo zagrażali porządkowi publicznemu, czekały inne kary – z deportacją w głąb ZSRS włącznie.

Komunistyczną „nagrodą” za lata walki o wolność stały się więzienia, katownie i dekady zapomnienia. Prawda o „żołnierzach wyklętych” – przedstawianych przez reżimową propagandę w wyjątkowo złym świetle – jeszcze długo była dla władarzy PRL-u niebezpieczna.

Powojenny zbrojny opór antykomunistyczny był bezpośrednią kontynuacją tradycji Polskiego Państwa Podziemnego. Ideowo i organizacyjnie wyrastał z doświadczeń Armii Krajowej.

Słowa jej ostatniego dowódcy – Leopolda Okulickiego – mówiące o sowieckim zwycięstwie, ale niekończącej się wojnie, okazały się prorocze. Były zapowiedzią kolejnego dramatycznego rozdziału polskiej historii, lat spędzonych na osamotnionej i nierównej, ale moralnie słusznej walce o wolność. ■



Sebastian Pawlina
FOT. DOMENA PUBLICZNA

Armia Krajowa była która myślała o czło

Armia Krajowa była instytucją, która bardzo dużo myślała o człowieku – nie tylko myślała o wyzwoleniu Polski, ale także o tym, żeby społeczeństwo przetrwało trudny czas. Paradoks bycia w konspiracji sprawiał, że dawała ona człowiekowi większe poczucie bezpieczeństwa niż bycie poza nią – podkreślił Sebastian Pawlina, historyk, pisarz, publicysta i muzealnik.

Czy decyzja o przemianowaniu Związku Walki Zbrojnej w Armię Krajową w lutym 1942 roku zmieniła coś realnie w życiu „chłopaka z lasu” lub łączniczki w mieście?

Dla przeciętnego żołnierza konspiracji – partyzanta w oddziale leśnym czy łączniczki w mieście – zmiana nazwy nie miała większego znaczenia. Bardzo często osoby należące do podziemia nie znały nawet pełnej nazwy organi-

zacji, do której wstępowały. Doskonałym przykładem są żołnierze Tajnej Organizacji Wojskowej (TOW), która w marcu 1943 roku została scalona z AK, choć współpracowała z nią już wcześniej. Wśród nich był Stanisław „Stasinek” Sosabowski, syn gen. Sosabowskiego. Przyznawał, że początkowo nie wiedział dokładnie w strukturach jakiej organizacji służy. Dla niego, jak i dla tysięcy innych, kluczo-

wy był fakt przynależności do ruchu walczącego o niepodległość, wolność i przeciwstawiającego się okupantowi. W warunkach wojennych liczyła się walka z wrogiem, a nie formalne nazewnictwo struktur dowódczych.

Jak to możliwe, że w kraju poddanym tak skrajnemu terrorowi udało się stworzyć strukturę wojskową liczącą od 200 do 400 tysięcy ludzi, posiada-



FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (WWW.NAC.GOV.PL)

instytucją, wieku

jąca własne sądownictwo, wywiad, a nawet produkcję broni? Gdzie tkwił sekret tak skutecznej samoorganizacji społeczeństwa?

Sekret tkwił przede wszystkim w polskiej historii i doświadczeniu pokoleniowym. Jeśli spojrzymy na okres od końca XVIII wieku – od konfederacji barskiej, przez cały wiek XIX i kolejne zrywy narodowe – zobaczymy społeczeństwo, które regularnie zawiązywało tajne organizacje. Umiejętność budowania struktur konspiracyjnych była w Polsce przekazywana z pokolenia na pokolenie.

Ludzie, którzy od 1939 roku tworzyli Polskie Państwo Podziemne, wychowali się bezpośrednio na tradycji powstania styczniowego. Wielu z nich było żołnierzami Legionów Polskich

Józefa Piłsudskiego. Powstanie styczniowe stanowiło dla nich nie tylko symbol oporu przeciwko carskiej Rosji, ale przede wszystkim gotowy wzorzec budowy tajnego państwa. Już wtedy istniały rozbudowane struktury – sądownictwo oraz sprawny system komunikacji.

Pokolenie, które w 1918 roku odzyskiwało niepodległość dla Polski, miało konspirację we krwi – znało ją z opowieści dziadków i opracowań historycznych. Co więcej, jeszcze przed wybuchem II wojny światowej polskie dowództwo brało pod uwagę scenariusz klęski militarnej i konieczność przejścia do oporu. Pewne plany i załączki struktur przygotowywano więc z wyprzedzeniem. Dla ówczesnego społeczeństwa było rzeczą naturalną, że w momencie utraty suwerenności należy zejść do podziemia i kontynuować walkę o wolną Polskę.

Jakie największe wyzwania stały przed żołnierzami AK w obliczu stosowanej przez Niemców odpowiedzialności zbiorowej wobec ludności cywilnej?

Kluczowym wyzwaniem było poczucie odpowiedzialności za społeczeństwo. Dotyczyło ono każdego żołnierza Armii Krajowej – od dowódców po szeregowych, niezależnie od tego, czy brali udział w spektakularnych akcjach bojowych, czy dopiero szkolili się z obsługi broni. Dla nich podjęcie walki zbrojnej z Niemcami było paradoksalnie sposobem na ocalenie własnego człowieczeństwa. Po latach znakomicie podsumował to Stanisław Likiernik, żołnierz Kedywu i pierwowzór bohatera powieści „Kolumbowie. Rocznik 20”. Mówił, że możliwość walki z Niemcami na ulicy sprawiała, że przestawał czuć się zwierzyną łowną. Odzyskiwał podmiotowość i zdolność do walczenia o godność własną oraz całego narodu. W realiach skrajnego terroru, gdzie każdy mógł zostać przypadkowo schwytany w łapance,



FOT. MPWiV

trafić do obozu lub zginąć w publicznej egzekucji, walka dawała poczucie sprawstwa. O stanie psychicznym tamtego społeczeństwa najlepiej świadczy krążący wówczas ponury żart, że dopiero wyroki „powyżej kary śmierci” robią na kimś wrażenie, bo sama śmierć stała się chlebem powszednim.

Żołnierze AK nieustannie mierzyli się z tragicznym dylematem: czy ich działania są potrzebne, skoro każda akcja stawiała się dla Niemców pretekstem do zaostrzenia represji wobec cywilów? Z jednej strony czuli, że opór jest konieczny dla podtrzymania ducha narodu, z drugiej – musieli konfrontować się z głosami oskarżającymi ich o niepotrzebne prowokowanie okupanta.

Wojna całkowicie przewartościowała moralność. To, co w czasie pokoju było zbrodnią lub występkiem – jak zabicie człowieka, kradzież węgla z bocznicy kolejowej – w konspiracji stawało się potrzebne, a nawet było aktem patriotyzmu. Dowództwo AK zdawało sobie sprawę, że walka – choć niezbędna – może nieodwracalnie okaleczyć psychicznie elitę narodu. Obawiano się, że młodzi ludzie, po latach życia w świecie, gdzie śmierć jest narzędziem, będą po wojnie „nie do odzyskania” dla cywilnego społeczeństwa. Były to poważne problemy moralne, psychiczne.

Dlatego tak ważne było tzw. cywilne życie w konspiracji – wysyłanie na urlopy, wypłacanie pensji...

Polskie Państwo Podziemne, w tym Armia Krajowa, to był prawdopodobnie najlepszy pracodawca w okupowanej Polsce. Może to brzmieć dla kogoś śmiesznie, a dla innych wręcz cynicznie, ale taka była rzeczywistość. Musimy zrozumieć, że dla tysięcy ludzi konspiracja była zajęciem pełnoetatowym – oni byli zawodowymi konspiratorami. Nie mogli pójść do normalnej pracy zarobkowej, bo ich życie było podporządkowane walce, a jednocześnie musieli z czegoś żyć, opłacić czynsz i wykarmić rodziny. Posiadali oczywiście legalne dokumenty zatrudnienia w różnych firmach, by uniknąć aresztowania podczas łapanek, ale ich realne dochody pochodziły z kasy podziemnej.

Wypłacano im nie tylko regularne pensje, ale też cały system dodatków. Mamy tu dodatki węglowe na okres jesienno-zimowy, dodatki lokalowe dla tych, którzy musieli się ukrywać i wynajmować bezpieczne mieszkania czy diety na podróże w celach służbowych.

Dowództwo zdawało sobie sprawę, że konspiracja wykańcza psychicznie i fizycznie, dlatego wprowadzono system urlopów. Ludzi czasami wysyłano na przymusowe wolne. Jako przykład podam Tadeusza Wiwatowskiego, który był typowym pracoholikiem i nie chciał słyszeć o odpoczynku – dowódcy musieli go na ten urlop wypychać niemal siłą.

Mało tego, Państwo Podziemne brało na siebie pełną odpowiedzialność za „wypadki przy pracy”. Jeśli ktoś został inwalidą, wypłacano mu rentę. Jeśli konspirator trafił do niewoli, jego rodzina nie zostawała sama – natychmiast obejmowano ją opieką finansową.

Oczywiście, fundusze były ograniczone – priorytetem zawsze była broń, uwalnianie więźniów, akcje zbrojne, sabotaż i wywiad. Jednak system opieki nad „pracownikami” podziemia był zdumiewający.

Skąd pochodziły środki na wypłaty?

Z budżetu Armii Krajowej, zasilanego głównie przez fundusze przerzucane z zagranicy (m.in. przez cichociemnych) oraz brawurowe akcje dywersyjne, takie jak „Akcja Góral”, nazywana także akcją na 100 milionów.

Armia Krajowa była instytucją, która bardzo dużo myślała o człowieku. Ona nie tylko myślała o wyzwoleniu Polski, ale także o tym, żeby społeczeństwo przetrwało trudny czas. Ludzie w konspiracji czuli, że nie będą pozostawieni samym sobie. Wchodząc

do podziemia, potrzeba, a temat konspiracji wymaga szczególnej uwagi. Jako historyk i badacz tego okresu uważam, że w ostatnich latach temat zszedł na dalszy plan. Inne wątki, takie jak stosunek

FOT. MPW (2)



do podziemia, wchodzili do rodziny. Paradoks bycia w konspiracji sprawiał, że dawała ona człowiekowi większe poczucie bezpieczeństwa niż bycie poza nią.

Jak powinniśmy rozmawiać o Armii Krajowej w sposób rzetelny, nie uciekając od trudnych pytań na przykład o stosunek do mniejszości narodowych czy podziały wewnątrz samego podziemia?

To jest trudne pytanie, ponieważ rzetelna rozmowa o czasie II wojny światowej w Polsce jest niezwykle po-

Polaków do Zagłady, historia Żołnierzy Wyklętych, stały się na tyle istotne politycznie, że zdominowały debatę publiczną.

O konspiracji trzeba jednak zacząć rozmawiać rzetelnie, starając się przede wszystkim zrozumieć, co kierowało człowiekiem podejmującym dodatkowe ryzyko. Jakie wartości mu przyświecały i co wojna zrobiła z jego psychiką? Możemy to odnieść do obecnej sytuacji w Ukrainie, gdzie stosunek ludzi do walki jest bardzo zróżnicowany. Fakt, że nie każdy chce iść na front, jest absolutnie naturalny – pod-

stawową skłonnością człowieka jest bowiem walka o przeżycie i chęć ratowania własnego życia.

W połowie 1942 roku Delegatura Rządu RP na Kraj przeprowadziła badanie socjologiczne dotyczące postaw w okupowanej Warszawie. Społeczeństwo podzielono w nim na trzy grupy: Warszawa heroiczna – ludzie związani z konspiracją lub wspierający ją (np. wynajmujący lokale); Warszawa haniebna – osoby współpracujące z Niemcami lub dorabiające się na wojnie kosztem innych; Warszawa

rzeczywistością, w której cieniu żyjemy. Wiedza o tym, dlaczego ludzie w przeszłości zachowywali się w określony sposób, daje nam dodatkowe umiejętności interpretacyjne. Nie każdy decydował się na walkę wyłącznie z pobudek wielkiego patriotyzmu, choć był on oczywiście bardzo częstą i ważną przyczyną.

Warto też dostrzec wpływ konspiracji na przełamywanie barier. W oddziale dowodzonym przez Tadeusza Wiwatowskiego służyli obok siebie ludzie, którzy przed wojną nigdy by się

Uważam, że powinien mieć charakter przede wszystkim refleksyjny. Powinien skłaniać do zadumy, która wykracza poza oczywiste aspekty walki zbrojnej, takie jak wysadzanie pociągów czy likwidowanie konfidentów. Choć są to czyny heroiczne, często nie płynię z nich bezpośrednia lekcja na czasy współczesne. Mówiąc dzisiaj o Armii Krajowej, powinniśmy pamiętać przede wszystkim o dwóch kluczowych kwestiach. Po pierwsze, musimy zrozumieć, że wojna nie jest ekscytującą przygodą, lecz traumatycznym czasem, który sieje spustoszenie w psychice nawet najodważniejszych ludzi. Decyzja o ryzykowaniu życia w imię wyższych wartości niesie za sobą straszne konsekwencje emocjonalne. Przykładem może być postać Zbigniewa Blichewicza, oficera AK. Na początku powstania warszawskiego był on gorącym zwolennikiem zrywu, jednak kolejne tygodnie walk sprawiły, że stopniowo tracił wiarę w sens tego, co się dzieje. Wojna złała go jako człowieka do tego stopnia, że po jej zakończeniu wielokrotnie próbował odebrać sobie życie, co ostatecznie mu się udało.

To tragiczne doświadczenie było udziałem wielu żołnierzy Armii Krajowej. Oczywiście nie wszystkich, gdyż wielu z nich potrafiło odnaleźć się w powojennej rzeczywistości, niemniej musimy pamiętać, że nie byli to wyłącznie „piękni chłopcy i piękne dziewczyny”, którzy szli do walki z uśmiechem na ustach. To byli ludzie rzućeni w dramatyczne okoliczności, próbujący zrobić coś dla kraju i innych, a jednocześnie szukający w tym wszystkim sensu dla siebie.

Unikalna zdolność do jednoczenia bardzo różnych grup społecznych wokół wspólnej idei jest również czymś, o czym powinniśmy szczególnie pamiętać, wspominając Armię Krajową i całe Polskie Państwo Podziemne.

**Rozmawiała
Katarzyna Krzykowska**

FOT. MPW



„Państwa Kowalskich” – ludzie starający się po prostu przeżyć.

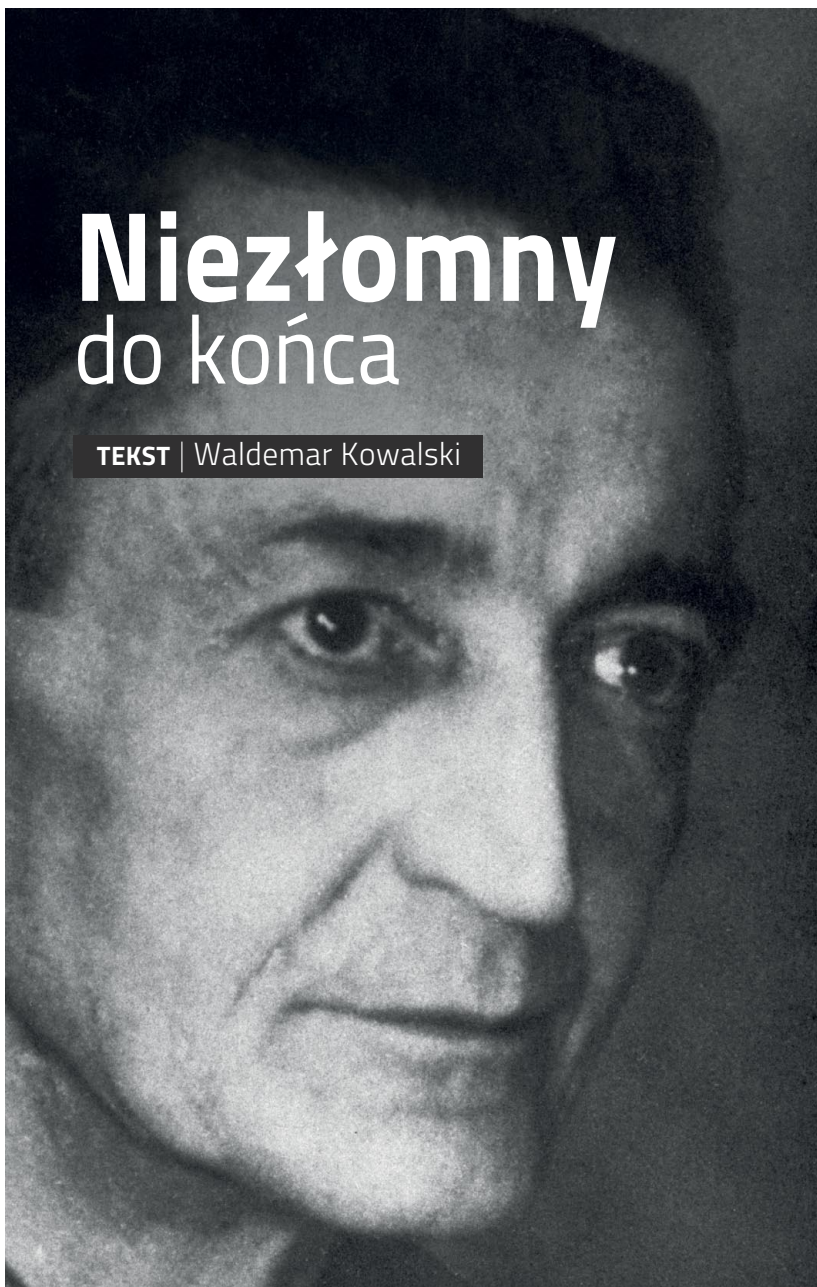
Okazało się, że około trzy czwarte populacji stanowiła Warszawa „Państwa Kowalskich”. Pójście do konspiracji było ryzykowaniem życia dla różnych wartości. Motywacje były rozmaite: tradycja rodzinna, chęć zemsty za zamordowanych bliskich, wstrząs po zobaczeniu ulicznej egzekucji czy poczucie obowiązku u żołnierzy kontynuujących walkę po wrześniu 1939 roku. Zrozumienie tych motywacji jest cenne, zwłaszcza że dziś wojna nie jest już tylko hasłem z przeszłości, ale

nie spotkali. Byli tam chłopcy z Czeriakowa – dzielnicy o złej sławie, gdzie strach było wejść po zmroku – a w tym samym oddziale służyła córka hrabiostwa Branickich. Wojna sprawiła, że ludzie z tzw. dobrych domów stali się równi tym z marginesu społecznego czy robotniczych dzielnic.

Jaki powinien być Narodowy Dzień Pamięci Żołnierzy Armii Krajowej – radosny czy refleksyjny? Jakiej lekcji o Armii Krajowej najbardziej brakuje w dzisiejszym dyskursie publicznym?

Niełomny do końca

TEKST | Waldemar Kowalski



czu rychłej śmierci zachowywał się jak – co przyznał nawet adwokat przydzielony z urzędu – „człowiek ze stali”. Bohater z krwi i kości, jak stał hartowany przez dziesięciolecia walki o wolność.

W marcu 1945 roku po raz pierwszy przyszło po niego NKWD. O aresztowaniu przesądził jednak przypadek. Fieldorf – jako szef podziemnej organizacji „NIE” – ukrywał się wówczas pod fałszywym nazwiskiem Walenty Gdanicki i wpadł przez własną nieostrożność. Enkawudziści znaleźli w jego domu niewielką kwotę amerykańskich dolarów (stąd oskarżenie o handel obcą walutą), a także zapasy kawy i papierosów. To wystarczyło, aby zostać uznanym za „wroga ludu”.

Trzy tygodnie później generał był już na „niehumanitarnej ziemi”, w głębi Związku Sowieckiego. Tam, w syberyjskiej tajdze, przyszło mu codziennie walczyć o przerwanie, pracując przy wyrębie lasów.

Z sowieckiego zesłania wrócił dopiero jesienią 1947 roku. Był wrakiem człowieka. Przeżył łagry, choroby i głód. Nie chciał wyjeżdżać z kraju. Był niewinny, więc dlaczego miałby uciekać? Inne pytanie, czy ucieczka byłaby w ogóle możliwa?

Moje miejsce jest w kraju

Funkcjonariusze UB od jakiegoś czasu wiedzieli bowiem, że generał ukrywa

Nie poległ w boju, choć walczył na różnych frontach, broniąc polskiej niepodległości. August Emil Fieldorf „Nil” – bohater wielu wojen – został zamordowany w majestacie „prawa”, w rzekomo wolnej i demokratycznej ojczyźnie.

Legendarny generał, współtwórca Polskiego Państwa Podziemnego, który przed dekadą – jako dowódca Kedywu Armii Krajowej – decydował o kształcie walki z niemieckim okupantem, kończył swe życie na szubienicy, w komunistycznym więzieniu, 24 lutego 1953 roku.

Pan Walenty w rękach NKWD

Choć znęcano się nad nim w śledztwie, przestrzegał bliskich przed staraniem o rewizję wyroku. Nie mógłby dalej żyć ze świadomością, że zawdzięcza życie łasce sowieckiego służącego, agenta NKWD – Bolesława Bieruta. Taki właśnie był „Nil”. Nawet w obli-

się u rodziny. Rozesłano za nim nawet list gończy. – *Wzrostu około 175 cm, szczupły, trzyma się prosto lat około 50, twarz pociągła, silny brunet, włosy gęste, zaczesane do góry, cera oliwkowa, oczy ciemne, nos prosty szczupły, usta wąskie, czołowo normalne, zarostu nie nosił, zawsze wy-*

golony, kończyny dolne wysokie, ogólnie przystojny, mówi szybko, ton głosu nie niski, cechuje go żywość i sprężystość ruchów – charakteryzowano poszukiwanego. Określano go jako



Podpułkownik August Emil Fieldorf z żoną Janiną i córkami Marią oraz Krystyną
FOT. AIPN / MARIA FIELDORF-CZARSKA



Cela aresztu śledczego na Mokotowie. W takiej samej przetrzymywany był gen. Fieldorf „Nil”
FOT. HANNA SATER

groźnego „przestępcę politycznego” oraz „komendanta grupy wywiadowczo-terrorystycznej – Kedyw”.

Fieldorf zmieniał miejsca pobytu – mieszkał w Warszawie, potem w Krakowie, następnie w Łodzi. Wiedział, że jest poszukiwany. Nie był przecież tylko byłym szefem Kedywu AK,

ale też organizatorem antysowieckich struktur konspiracji (organizacja „NIE”). W starciu ze zbrodniczą machiną totalitarnego państwa nie miał jednak większych szans na przetrwanie.

– *Moje miejsce jest w kraju, tutaj są moi harcerze, moi ludzie; nikt nie powie, że uciekałem przed niebezpieczeństwem* – tak odpowiadał żonie Janinie, która przekonywała go, by ratował się ucieczką. Wiedziała co mówi – w kraju szalała безпеka, a byli AK-owcy byli tropieni, więzieni i bezwzględnie likwidowani.

Pomimo próśb i nalegań żony, w lutym 1948 roku generał zgłosił się do Rejonowej Komendy Uzupełnień w Łodzi. Przedstawił obszerny życio-

Z sowieckiego zesłania gen. Fieldorf wrócił dopiero jesienią 1947 roku. Był wrakiem człowieka. Przeżył łagry, choroby i głód. Nie chciał wyjeżdżać z kraju

rys, ujawnił ponad 30 lat służby wojskowej, poprosił o przejście w stan spoczynku.

Zamiast spokoju i emerytury otrzymał jednak... stałą inwigilację. Obserwowane mieszkanie, klatka schodowa pełna funkcjonariuszy UB, telefon na podsłuchu. To nie było normalne życie...

Kazali mu wsiadać

Dwa lata później przyszedł cios ostateczny. 9 listopada 1950 roku Fieldorf został wezwany ponownie do siedziby RKU. Sprawa dotyczyła rzekomo formalności związanych z emeryturą wojskową. Gdy generał wychodził

z urzędu przy ul. Piotrkowskiej, czekali już na niego ubecy.

„Nilowi” odebrano wolność w bladej dzień, wypychając go podstępnie do samochodu. Jak relacjonowała żona zatrzymanego: *Podeszło do niego dwóch drabów, podjechało auto, kazali mu wsiadać. Emil zaczął krzyczeć do ludzi, żeby mnie zawiadomili, podawał mój adres...*

Jeszcze tej samej nocy UB przeprowadziło rewizję w mieszkaniu rodziny, usiłując znaleźć cokolwiek, co dodatkowo obciąży generała. Choć nadzieje te okazały się płonne, los aresztowanego – tak czy inaczej – wydawał się przesądzony.

„Nila” przewieziono do Aresztu MBP na ul. Koszykową. Tam poddano go pierwszym przesłuchaniom. Naiwnie liczono na „złamanie” bohatera. Ten pozostał nieugięty – zarówno w areszcie bezpieki, jak i w więzieniu przy ul. Rakowieckiej, gdzie osadzono go miesiąc później.

W nakazie tymczasowego aresztowania, wydanym natychmiastowo przez prokurator ppłk. Helenę Wołoską, napisano, że Fieldorf dążył do „obalenia ustroju państwa”. Taki zarzut miał uczynić z bohatera czasów niemieckiej okupacji wyjątkowo groźnego przestępcę. A takich karano śmiercią...

Żona generała poznała miejsce przetrzymywania męża dopiero... w drugiej połowie grudnia. Tak zapamiętała spotkanie z ukochanym za murami niesławnego gmachu przy ul. Rakowieckiej: *Z bijącym sercem stałam przy kratce, jak to w więzieniu. Ukażał się Emil ze strażnikiem. Bał się widocznie, że się załamie, (...) sztucznie ożywionym tonem zaczął pytać o dzieci, o rodzinę, o ojca. Dopiero jak wyszłam za bramę, załamam się łzami.*

Pobył w więzieniu mokotowskim był oczekiwaniem na najgorsze. Generał miesiącami znosił wszystkie upokorzenia oraz tortury. Komuniści pastwili się nad nim przez siedem

miesiący – śledztwo trwało od 20 grudnia 1950 roku do 31 lipca 1951 roku. Usiłowali wydobyć zadowolające zeznania, kłamiąc, że aresztowali jego żonę wraz z córkami. Proponowali też współpracę. Fieldorf kategorycznie odmówił. – *Będziecie wisieć* – miał wówczas usłyszeć.

Proces tylko z nazwy

W trakcie śledztwa generał nie przyznał się do zarzucanych czynów. Konsekwentnie powtarzał: – *Jako komendant Kedywu KG AK nie wydawałem rozkazów likwidowania oddziałów GL, AL, ani partyzantki radzieckiej. Zajęty byłem wyłącznie walką z Niemcami i ludźmi współpracującymi z okupantem.* Dla komunistów nie miało to żadnego znaczenia, a „kompromitujący” życiorys oskarżonego mówił sam za siebie.

Nie dziwi zatem, że w akcie oskarżenia „Nila” – sporządzonym przez oficera śledczego MBP ppor. Kazimierza Górskiego – powtórzono już wcześniej formułowany zarzut o działalność bandycko-terrorystyczną, przez co rozumiano likwidowanie lokalnych działaczy komunistycznych oraz partyzantów sowieckich. Generała obwiniano też o „dokonywanie zabójstw spośród ludności cywilnej i jeńców wojennych”. Przy okazji wypomniano mu też... ideologiczne zepsucie, o czym miał świadczyć jego udział w wojnie z bolszewikami.

– *Wrogość swą do ruchu lewicowego i Związku Radzieckiego Fieldorf August wykazał już w latach 1920, jako dowódca kompanii 1. Pułku Legionów Polskich, brał czynny udział w marszu Piłsudskiego na ZSRR i został czterokrotnie wyróżniony Krzyżem Walecznych oraz awansował do stopnia kapitana* – wytykano generałowi, czyniąc z walki o niepodległość... poważne zarzuty.

Proces przed Sądem Wojewódzkim dla m. st. Warszawy rozpoczęła się 16 kwietnia 1952 roku. Skład sędziowski

– z Marią Gurowską na czele – doskonale wiedział, jaki ma być finał tego „widowiska”. Na sali sądowej bohatera oskarżał Beniamin Wajsblich. Adwokatem przydzielonym z urzędu był Jerzy Mering.

Ten ostatni w rozmowie z żoną generała zdobył się na wyznanie: – *Pani mąż to człowiek ze stali, nie okazuje ani skruchy, ani żalu. Szkoda, że on nie jest po naszej stronie, my potrzebujemy takich ludzi.*

Na sali sądowej „Nil” pozostawał niewzruszony, choć przedstawiono go jako złoczyńcę mającego na rękach

Sprawił wrażenie bardzo twardego człowieka. Można było wprost podziwiać opanowanie w obliczu tak dramatycznego wydarzenia

krew niewinnych ludzi, przestępcę utrudniające wyzwolenie z rąk niemieckich okupantów. Wyrok skazujący, ogłoszony przez Gurowską, oparto na treści Dekretu Bieruta z 31 sierpnia 1944 roku „o wymiarze kary dla faszystowsko-hitlerowskich zbrodniarzy”. Generała skazano na najcięższą z kar – śmierć, a wraz z nią utratę praw publicznych, obywatelskich i honorowych oraz całkowity przepadek mienia.

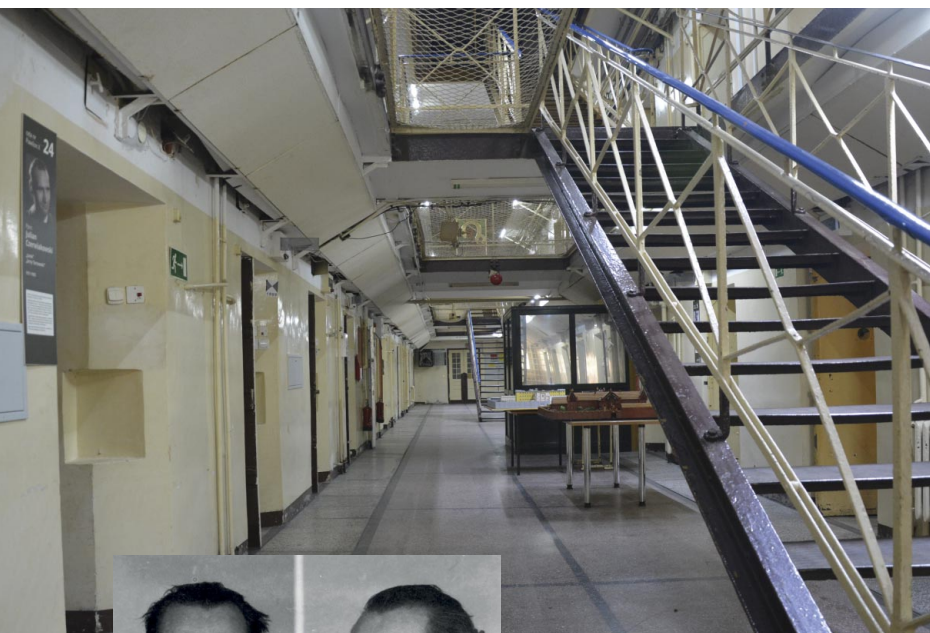
Wyrok ten podtrzymał 20 października 1952 roku Sąd Najwyższy w składzie: Emil Merz, Igor Andrejew i Gustaw Auscaler. Jak zgodnie stwierdzono: – *oskarżony, długoletni oficer sanitacyjny, wychowany w duchu nienawiści do ZSRR, a jego działania, jako szefa Kedywu, spowodowały śmierć przeszło 1000 antyfaszystów, walczących z okupantem.* Wobec takiego nasilenia złej woli komunistycznych sę-

dziów, na nic musiały zdać się starania o rewizję wyroku. Rada Państwa nie skorzystała z tego przywileju z uwagi na zbyt wysokie „natężenie woli przestępczej” skazanego. Nie zważając na te przeciwności rodzina próbowała na własną rękę interweniować u władz państwa. Generał nie wiedział o tych staraniach, a podczas ostatniego widzenia z żoną kategorycznie ich zakazał. – *Pamiętaj, abyś nie prosiła ich o łaskę!* – apelował do żony.

Oczekując na egzekucję, generał pozostał niezłomny. Opiekował się młodszymi więźniami, dzielił się jedzeniem, niekiedy żartował. Nie brakowało jednak chwil, gdy wewnętrznie bił się z myślami. – *Przemierzał nerwowymi krokami celę od drzwi do okna i od okna do drzwi, kilkaset razy aż do wyczerpania. Spostrzegłem, że potrzeba ujęcia nagromadzonej energii była związana z wewnętrznym ukrywanym niepokojem, zostawił przecież na wolności kochającą żonę, wierną towarzyszkę życia, i kochające go dzieci. Gnębiły go potwarze, zarzuty druzgoczące jego honor żołnierski i nade wszystko bezsilność* – zapamiętał inny osadzony, Włodzimierz Rzeczycki Puszkiewicz.

Fieldorf czuł niesprawiedliwość, ale nie upokorzenie – choć oprawcy usilnie o to zabiegali. W tym celu umieścili z bohaterem w jednej celi... niemieckiego zbrodniarza – Jakoba Sporrenberga, zastępcę dowódcy SS i policji w dystrykcie lubelskim, odpowiedzialnego m.in. za masowe mordy na ludności żydowskiej. Powieszono go w więzieniu mokotowskim 6 grudnia 1952 roku.

Komuniści celowo uśmiertlili gen. Fieldorfa w ten sam sposób – karą przewidzianą dla pospolitych przestępców czy niemieckich zbrodniarzy. Jeden z symboli XX-wiecznej walki o niepodległość, ikona Polski Podziemnej, postrach Niemców... zawisł na szubienicy.



Korytarz I piętra aresztu śledczego na Mokotowie FOT. HANINA SATER

Zbrodnia bez kary

Ostatni list z więziennej celi „Nil” napisał do żony 27 stycznia 1953 roku (do adresatki dotarł już po jego śmierci). Był pogodzony z losem, pytał o członków rodziny, prosił o niewpłacanie pieniędzy na swoje „więzienne” konto.

Niecały miesiąc później, 24 lutego, generała po raz ostatni wyprowadzono z celi. Nie był skuty, nie stawiał oporu. Doprowadzony na miejsce kaźni, miał tylko jedną prośbę: *Proszę powiadomić rodzinę...*

Prokurator Witold Gatner, obecny przy egzekucji, po latach zeznawał: *W czasie odczytywania dokumentów skazany stał spokojnie, nie był związany, nie miał założonych kajdanków. Zarządziłem wykonanie wyroku. Kat i jego pomocnik przystąpili do wykonania tego wyroku przez powieszenie. Trwało to bardzo krótko. (...) Skazany zachowywał się godnie, bez okrzy-*

ków, szamotania się i podobnych reakcji.

Świadcami ostatnich chwil „Nila” byli też naczelnik więzienia Alojzy Grabicki i lekarz płk dr Maksymilian Kasztelański, który po egzekucji dokonał oględzin zwłok zamordowanego.

Wśród więźniów szybko zrodziły się wątpliwości, co do okoliczności śmierci generała. Powtarzano na przykład, że skazaniec został przez swych oprawców zakatowany, a na szubienicy zawieszono jedynie jego zwłoki. Według innej wersji wydarzeń, Fiedorf został znieczulony i zastrzelony przez strażnika więziennego, gdy zmierzał na miejsce straceń...

Wątpliwości po latach starał się rozwiązać Gatner, zarzekając się, że wobec „Nila” nie stosowano żadnej przemocy. – *W mojej obecności nikt go nie bił. Wyroków wysłuchał – mogę to tak określić – w postawie „na baczność”. Jeszcze raz stanowczo zaprzeczam, aby był maltretowany w mojej obecności. Został powieszony w pełni świadomości – tłumaczył człowiek uwikłany w śmierć bohatera.*

„Nil” padł ofiarą komunistycznej zbrodni sądowej. Wszelkie próby roz-

liczenia zaangażowanych w nią sędziów i prokuratorów zakończyły się fiaskiem – żaden z oprawców nie poniósł odpowiedzialności prawnej.

Ciała zamordowanego nigdy nie wydano rodzinie. Przez dekady bliscy generała próbowali ustalić miejsce jego pochówku, interweniując na własną rękę na różnych szczeblach władzy.

– *Niestety, proszę pani, nie da się odnaleźć tak dokładnie miejsca pochowania pani męża. Na pewno został pochowany na cmentarzu Powązkowskim, ale tam jest kilka mogił zbiorowych i choć minister [Wojciech Jarużelski] był skłonny zarządzić ekshumację, to przeszukanie tych mogił byłoby dla pani ciężkim przeżyciem – usłyszała generałowa z ust pracownika Ministerstwa Obrony Narodowej, który odwiedził ją w maju 1972 roku.*

Do dziś nie wiadomo, gdzie dokładnie komuniści ukryli zwłoki bohatera. Wszystko wskazuje na „Łączkę”, czyli kwaterę „Ł” Cmentarza Wojskowego na warszawskich Powązkach, gdzie potajemnie grzebano ofiary więzienia mokotowskiego.

Komuniści chcieli, by „Nil” zniknął na zawsze. Dlatego bohater umierał na szubienicy – odsądzony od czci, uznany za wroga, zdrajcę i szkodnika. Ale legendy niezłomnego generała nie dało się zabić.

Pod wrażeniem jego postawy był stalinowski prokurator, który w napięciu i zdenerwowaniu obserwował ostatnie chwile skazańca: – *Czułem, że trzęsą mi się nogi. Skazany patrzył mi cały czas w oczy. Stał wyprostowany. Nikt go nie podtrzymywał (...). Postawę skazanego określiłbym jako godną. Sprawiał wrażenie bardzo twardego człowieka. Można było wprost podziwiać opanowanie w obliczu tak dramatycznego wydarzenia.*

To nie była śmierć hańbiąca, a isticie bohaterska. ■



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE WITOLDA SIELEWICZA



Witold Sielewicz
FOT. DOMENA PUBLICZNA

Wiedzieliśmy, że sledzimy w słusznej sprawie

Mając obok siebie takich ludzi jak w Białoleścu, można było przetrwać wszystko. Paradoksalnie, w moich wspomnieniach często bardziej żywe są momenty zabawne niż te przerażające – mówi Witold Sielewicz, współpracownik KOR i Niezależnej Oficyny Wydawniczej NOWA, współredaktor „Robotnika”, internowany w Warszawie-Białoleścu, Załężu koło Rzeszowa i Kielcach-Piaskach.

Jak zapamiętał pan moment zatrzymania i przewiezienia do Białoleścu – czy spodziewał się pan tak radykalnego kroku ze strony władz?

Byłem święcie przekonany, że władza wprowadzi stan wyjątkowy, nie spodziewałem się, że wojenny. Atmosfera była tak napięta, że musiało się coś wydarzyć. Zakładałem, że to się stanie na początku roku, że nie nastąpi to przed Bożym Narodzeniem. Sądziłem, że władza uszanuje ważny dla wszystkich okres religijny, duchowy i rodzinny. Zaskoczyli mnie.

Moje zatrzymanie było nietypowe. Było już po północy. Tego dnia wieczorem robiłem jeszcze obchód po naszych tajnych magazynach w prywatnych mieszkaniach. Później podjechałem samochodem pod dom moich rodziców na Rakowcu. Oczywiście mieszkalem z rodzicami, podobnie jak mój brat. Obok niego znajdował się pawilon ze sklepami. Przed sklepem mięsnym, jak to w tamtych czasach, stała długa kolejka ludzi czekających na dostawę, która miała pojawić się następnego dnia. Gdy wyszedłem z au-

ta, pomyślałem: „Rany boskie, przecież jutro jest wolny dzień, po co oni stoją?”. W tym momencie kolejka nagle się rozbiegła w moją stronę.

Być może popełniłem błąd, bo byłem już prawie przy klatce schodowej, gdy zobaczyłem matkę w oknie. Powinienem być pewnie uciekać w drugą stronę, ale wpadłem do domu. Matka otworzyła mi drzwi i zaraz za mną je zamknęła. Instynktownie pobiegłem do okien, by sprawdzić możliwość ucieczki z drugiej strony. Wyjrzałem i zobaczyłem, że budynek jest całko-

wicie obstawiony. Na dole stali mundurowi z dubeltówkami wycelowanymi prosto w moje okna.

Miałem pełną świadomość, że mnie zabiorą. Chwilę później rozległo się dobijanie do drzwi. Ponieważ nie mogli ich od razu sforsować, pobiegli po łom. Wykorzystałem ten czas i powiedziałem do rodziców: „Szybko, dawajcie ciepłe ubrania!”. Założyłem na siebie wszystko, co było pod ręką: podwójne kalessy, grube skarpety i kożuch po ciotce. Gdy w końcu weszli do środka, zachowałem spokój. Powiedziałem: „Panowie, chwileczkę, jeszcze tylko sekunda. Kieliszek wódeczki i możecie mnie brać”. Zamurowało ich. Wypiłem ten jeden kieliszek i wyszedłem.

Reakcja milicji wobec mnie była wyjątkowo ostra. Później dowiedziałem się, że mogło to wynikać z faktu, że wcześniej zabrali mojego brata. Brat, gdy go wynoszono, wszczął z nimi bijatykę na klatce schodowej. Liczył na to, że lada chwila się pojawi, usłysze zamieszanie i zdąży uciec. Niestety, nie udało się.

Na korytarzu komendy na Opaczewskiej trafiłem na dwóch młodych ubeków. Jeden z nich do mnie podszedł, chyba chciał zaimponować koledze, przystawił mi spłuwę do skroni i mówi, że „takich jak my za chwilę będą rozwalać”. Nie spanikowałem. Spojrzałem mu w oczy i powiedziałem: „No to na co czekasz? Wal teraz, no wal!”. Zaczął robić się purpurowy na twarzy, a ja drażyłem dalej: „Co, nie masz odwagi? Cykor jesteś!”. Ten drugi podbiegł do niego, odsunął, mnie zaczął przeproszać i później zapytał, czy chcę kawę albo herbatę. Nastawienie zmieniło się diametralnie.

Sam transport do więzienia na Białolec nie należał do przyjemnych. Był straszny mróz, ponad dwadzieścia stopni poniżej zera, a my nie wiedzieliśmy, dokąd nas wiozą. Za oknami widzieliśmy tylko lasy, więc przez głowę przechodziły różne myśli. W jed-

nym wozie jechałem m.in. z Agnieszką Romaszewską i jej późniejszym mężem Jarosławem Guzy.

Na miejscu wylądowaliśmy w dużej sali pełnej ludzi w różnym stanie emocjonalnym. Pamiętam Adama Michnika, który był na lekkim rauszu i zamiast sytuację polityczną, przejmował się tym, że właśnie „nagrał” piękną dziennikarkę francuską. Opowiadał, jak to tygodniami zabiegał o jej względy i gdy w końcu „już prawie ją miał”, to go zgarnęli. Jego narzekania wywoływały wściekłość u niektórych współwięźniów. Widać było wyraźny podział na dwie grupy: związkowców, którzy byli autentycznie przerażeni, oraz osoby związane z opozycją demokratyczną, u których reakcja była inna. Wszędzie widziało się znajomych.

W jakich warunkach przebywaliście?

To ewoluowało. Zaczynaliśmy w ekstremalnym ścisku – w celi o powierzchni 16 metrów kwadratowych było nas dwunastu. Próbowano narzucić nam rygor typowo więzienny, ale nikt na to nie reagował, więc z czasem odpuszcili. Z biegiem tygodni sytuacja się rozluźniała. Na przykład w Białolecu, gdzie przebywałem najdłużej, standardem było około sześciu osób w celi. Pod koniec mojego pobytu było już tak pusto, że w celi zostawałem sam lub z jednym towarzyszem. Zmieniał się też sam regulamin – od całkowitego zamknięcia, przez okresy większej swobody, aż po czas, gdy cele otwierano w ciągu dnia i można było żyć niemal normalnie. Pamiętam, że podczas Mistrzostw Świata pozwalano nam nawet wspólnie oglądać mecze.

Jak wyglądała codzienność internowanych? Mielicie jakikolwiek kontakt ze światem zewnętrznym lub innymi celami?

Główną rozrywką były rozmowy, ale z czasem pojawiały się inne zajęcia. Po paru dniach ktoś przemycił radio,

a Wojtek Borowik z kolegami zaczął wydawać gazetkę „Koniem przez świat”. Nazwa była nieprzypadkowa – w gwarze więziennej „koń” to sposób przekazywania wiadomości między celami za pomocą kijka i sznurka. Gazetka miała format od jednej do kilku kartek i zawierała najważniejsze informacje ze świata złapane z radia lub przyniesione przez nowo osadzonych.

Później rodziny zaczęły dostarczać nam książki, więc bardzo dużo czytaliśmy. Graliśmy też w gry planszowe i karty. Wyjątkowym czasem było Boże Narodzenie – cele otwarto na parę godzin, wpuszczono rodziny bez szczegółowej kontroli. Mój ojciec, znając jeszcze czasy sowieckie, wiedział doskonale, co jest potrzebne: przyniósł cebulę, słoninę i wódkę. To była pierwsza wódka wypita w więzieniu w Białolecu; wypiliśmy z Adamem Michnikiem po symbolicznym kieliszku. W te dni wolności uruchomiliśmy nawet „uniwersytet” – Bronisław Gremek i inni prowadzili wykłady, a Maciej Zembaty, któremu dostarczono gitarę, grał koncerty. Po paru dniach swoboda się skończyła i wróciła szara codzienność.

Między internowanymi a strażnikami więziennymi panowała wyłącznie wrogość?

Wielu osadzonych, zwłaszcza działaczy związkowych, podchodziło do strażników z ogromną niechęcią. Traktowali ich jednoznacznie jako oprawców. Ja miałem inne podejście. Uznałem, że walka z nimi nie ma sensu – przecież oni po prostu wykonywali swoje obowiązki. Starałem się być wobec nich, na tyle, na ile to możliwe, uprzejmy.

Sytuacja zmieniła się, gdy po kilku tygodniach zaczęły docierać do nas paczki z Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Jedzenie było fatalne; podawano nam tzw. „beton”, czyli groch z czymś niezidentyfikowanym, co było

niemal niejadalne. Żywiliśmy się głównie dżemem, zbożową kawą i chlebem ze smalcem, który akurat piekli bardzo dobry. Kiedy dostałem pierwszą paczkę z MCK, znalazłem w niej salami o niesamowitym zapachu – czegoś takiego wcześniej w Polsce nie jadłem. Zapukałem w drzwi celi. Gdy podszedł strażnik i zapytał, czego chcę, zaproponowałem mu to salami, on zdębiał. Powiedziałem, że mam tylko jedną prośbę: w sąsiedniej celi siedzi mój brat i chciałbym móc się z nim zobaczyć. Początkowo twierdził, że to niemożliwe, ale po jakimś czasie uległ i wpuścił mnie do brata.

Od tego momentu moje relacje z „klawiszami” stały się specyficzne. Dzieliłem się z nimi towarami z paczek – oddawałem im wędlinę, artykuły higieniczne dla ich żon – a oni w zamian przymykali oko na kontakty z bratem, załatwiali drobne przysługi. Doszło nawet do tego, że przez układy wymieniono nam część obsługi. Najbardziej zapadła mi w pamięć sytuacja sprzed mojego wyjścia. Jeden ze strażników podszedł do mnie i powiedział: „Panie Witku, pan mi życie uratował”. Okazało się, że rodzina wyzywała go od sprzedawczyków i bestii za to, że maltretuje internowanych. Kiedy jednak zaczął przynosić do domu luksusowe wędliny i mówić, że dostaje je od nas w prezencie, nagle zyskał w ich oczach szacunek. Uznali, że skoro dostaje od nas takie rzeczy, to widocznie musi być z nami w jakiejś tajnej konspiracji.

Był Pan poddawany próbom werbunku lub naciskom na podpisanie tzw. „lojalek”? Jak osadzeni reagowali na takie działania ze strony służb?

Tak, próbowali przesłuchiwać wszystkich po kolei. Reakcje były bardzo zróżnicowane, zwłaszcza u działaczy opozycyjnych z doświadczeniem sprzed 1980 roku. Oni z reguły kategorycznie odmawiali jakichkolwiek rozmów, choć zdarzali się tacy, którzy szli z cie-

kawości, by dowiedzieć się, co służby na nich mają.

W mojej celi tłumaczyliśmy współwięźniom, że na takie przesłuchania po prostu się nie chodzi. Mimo to jeden z osadzonych zdecydował się pójść. Wrócił kompletnie roztrzęsiony i przerażony. Były to pierwsze dni stanu wojennego, więc emocje były ogromne. Opowiedział nam, że próbowali go podejść psychologicznie. Mówili: „Jest pan porządnym człowiekiem, ta ekstrema pana w coś wciągnęła. Niech pan podpisze lojalkę, że nie będzie prowadził działalności, a wyjdzie pan na wolność”. Postraszyli go przy tym, że dla pozostałych osób z celi rano lub wieczorem zostaną podstawione eszelony i wywożą ich prosto na Syberię. Ten człowiek po powrocie był jak galareta – oczywiście podpisał papier, wierząc, że dzięki temu uniknie wywózki.

Jeśli chodzi o mnie, byłem ostatnią osobą poproszoną na rozmowę. Stało się to dopiero w czerwcu. Gdy przyszedł po mnie strażnik, odpowiedziałem mu krótko: „Proszę im przekazać, że jest wojna, a ja w stanie wojennym z agresorem nie rozmawiam”. Klawisz tylko odrzekł: „Dziękuję panu bardzo, oni spodziewali się, że właśnie tak pan odpowie”.

Docierały do was informacje z zewnątrz? Wiedzieliście, co się dzieje w kraju?

Przez pierwsze dni żyliśmy w kompletnej dezorientacji, zupełnie nie wiedzieliśmy, co się dzieje. Z czasem sytuacja zaczęła się zmieniać. Przywożono kolejne osoby, niektórym udawało się przemyścić radia, więc zaczęły docierać do nas pierwsze wieści o strajkach, choć były to przekazy bardzo rwane i niekompletne.

Pełniejszy obraz sytuacji uzyskaliśmy dopiero w okolicach Bożego Narodzenia, kiedy pozwolono nam na pierwsze widzenia z rodzinami. Z czasem sytuacja jeszcze bardziej się unor-

mowała, bo zezwolono na organizację cotygodniowych mszy św. Księża pełnili wtedy kluczową rolę jako łącznicy – nie tylko mówili nam, co dzieje się na zewnątrz, ale też zbierali od nas grypsy i przekazywali je rodzinom. W ten sposób ta komunikacja ze światem zewnętrznym zaczęła już funkcjonować całkiem sprawnie.

Czy w trakcie internowania podejmowaliście próby protestu? Jak reagowała na nie obsługa więzienia?

Oczywiście. Przede wszystkim walczyliśmy o to, by traktowano nas zgodnie z przepisami o internowaniu. Skoro władze twierdziły, że przebywamy w ośrodkach odosobnienia, a nie w zwykłych więzieniach, domagaliśmy się, aby cele były otwarte.

Szczególne znaczenie miał dla nas trzynasty dzień każdego miesiąca. Organizowaliśmy wtedy wielogodzinne śpiewy pieśni patriotycznych. Do tego dochodziło walenie metalowymi kubkami i talerzami o kraty lub drzwi, żeby wywołać jak największy hałas. Strażnicy przychodzili nas „uspokajać” i robiło się niebezpiecznie. Pojawiały się oddziały gotowe do bicia – otwierali cele, grozili nam, a jeśli ktoś pyskował, potrafili po prostu uderzyć pałką. Stosowano też restrykcje: zakazywano spacerów lub wprowadzano pełny rygor, uniemożliwiając nam przechodzenie między celami.

Jak na waszą postawę reagowali więźniowie kryminalni? Czy istniała między wami solidarność?

To było bardzo ciekawe zjawisko. Kiedy zaczynaliśmy protest, więźniowie funkcyjni i kryminalni często przyłączali się do nas w ramach solidarności. Byliśmy dla nich niemal bohaterami, a ze względu na paczki z Zachodu traktowano nas trochę jak „Amerykanów”.

W więzieniu główną walutą są papirosy. My dostawaliśmy w paczkach z MCK towary doskonałej jakości.

Choć sam specjalnie nie paliłem, to te lepsze papierosy trzymaliśmy jako kartę przetargową, a polskie, gorsze marki, wyrzucaliśmy przez okna więznom kryminalnym. To budowało między nami specyficzną więź i sprawiało, że czuliśmy ich wsparcie podczas naszych protestów.

Czy zdarzały się sytuacje, które dziś wspomina pan z uśmiechem? Czy internowanie to tylko strach i represje?

Paradoksalnie, w moich wspomnieniach często bardziej żywe są momenty zabawne niż te przerażające. Pamiętam jedną z interwencji podczas naszego protestu. Do celi wpada szef ośrodka – kapitan, który miał może z metr sześćdziesiąt wzrostu. Miał na głowie hełm tak duży, że opadał mu na oczy, a w ręku dzierżył „osiemdziesiątkę”, czyli pałę bojową niemal sięgającą mu do pasa. Za nim stali „chłopcy do bicia” – potężne byki, po



dwa metry wzrostu, z tarczami. Różnica gabarytów była komiczna. Ten kapitan wpada, wali pałką w taboret i wrzeszczy: „Komu tu przy.....ć?!”. Nie wytrzymałem. Dostałem ataku histerycznego śmiechu i padłem na podłogę. Strażnicy tak zgłupieli na ten widok, że po prostu się wycofali i poszli bić kogoś w następnej celi.

Wśród internowanych w Białolecie było wiele znanych postaci. Jak wyglądało wasze wspólne życie?



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE WITOLDA SIELEWICZA (3)

Towarzystwo było wymienione, co bardzo pomagało przetrwać. Siedziałem m.in. z Andrzejem Celińskim, który opowiadał nam niesamowite historie o kulisach dyplomacji, np. jak KGB zrobiło mu „kipisz” w strzeżonym hotelu w USA, żeby pokazać, że czuwają. Był też świętej pamięci Tolek Lawina – człowiek niezwykle inteligentny, ale też potwornie upierdliwy dla strażników. Stosował bierny opór, cyzelował każdy paragraf regulaminu. Kiedyś klawisz wszedł do celi, spojrzał na niego i jęknął: „Panie Tolku, znowu pan? No to mamy przechlapane...”.

Pamiętam też genialną nauczkę, jaką Jacek Szymanderski dał współwięźniowi, który podkradał mu szczoteczkę do zębów. Jacek zauważył, że szczoteczka jest mokra. Następnego dnia ostentacyjnie ściągnął spodnie i zaczął szczoteczką szorować sobie okolice odbytu. Jeden z działaczy aż krzyknął z przerażenia, a Jacek ze spokojem odparł, że zawsze tak robi. Podkradanie ustało natychmiast. Po latach przyznał mi się, że miał po prostu dwie szczoteczki.

Antek Zambrowski ze Stefanem Melakiem codziennie ze swoich celi odprawiali msze. Antek miał głos jak Gomułka, był nawróconym katolikiem. Wychodzę na spacerniak, idzie



Michnik, i mówi do mnie: „Wiesz Wittek, nigdy nie myślałem, że dożyję takich czasów, żebym słuchał mszy katolickiej odprawianej przez Żyda Zambrowskiego głosem Gomułki”.

Czy żałował pan swojego zaangażowania?

Ani przez moment. Do działalności opozycyjnej przygotowywałem się świadomie i fizycznie. Chodziłem do dentysty bez znieczulenia, żeby ćwiczyć odporność na ból. Jeździłem na gapę, żeby nauczyć się opanowania przy konfrontacji z kontrolą. Byłem nastawiony na najgorsze, na lata więzienia, więc to, co mnie spotkało, przyjąłem z optymizmem. Wiedzieliśmy, że siedzimy w słusznej sprawie, a mając obok siebie takich ludzi jak w Białolecie, można było przetrwać wszystko.

**Rozmawiała
Katarzyna Krzykowska**



FOT. ZE ZBIORÓW MUZEUM HISTORII POLSKIEGO RUCHU LUDOWEGO



FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (WWW.NAC.GOV.PL)

Od konspiracji do „Czterech pancernych”

Dramatyczne losy Marii Hulewiczowej

TEKST | Dorota Gałaszewska-Chilczuk

Jej życie mogłoby posłużyć za scenariusz filmu – i w pewnym sensie nim się stało. Maria Hulewiczowa, urodzona w Wilnie w 1913 roku, znakomicie wykształcona, biegle władająca językami obcymi i obdarzona literackim talentem, należała do tych ludzi, których historia wciągnęła w sam środek dramatycznych wydarzeń XX wieku. Za wierność, miłość i własne wybory przyszło jej zapłacić wysoką cenę.

Na Uniwersytecie Warszawskim zaprzyjaźniła się z działaczem socjalistycznym, znanym publicystą Stanisławem Dubois. Za jego namową wstąpiła do Organizacji Młodzieży Towarzystwa Uniwersytetów Robotniczych, ściśle związanej z PPS. Z kolei dzięki kontaktom męża Jana

Hulewicza, który po obronie pracy magisterskiej został asystentem prof. Stanisława Kota, znalazła się w środowisku ludowców. Kot, po zorganizowaniu protestu polskich uczonych przeciwko aresztowaniu przywódców Centrolewu, pozbawiony przez władze sanacyjne katedry historii kultury

polskiej na Uniwersytecie Jagiellońskim, wstąpił do Stronnictwa Ludowego.

Środowisko ludowe, podobnie jak socjalistyczne, było bardzo krytyczne wobec ówczesnej władzy sanacyjnej. Maria nie należała do zwolenników marszałka Józefa Piłsudskiego. W pra-

cy maturalnej z 1932 roku pt. „Kogo uważam za nauczyciela narodu” za swój autorytet uznała Stefana Żeromskiego. Podczas uroczystej akademii rozdania świadectw maturalnych, wraz z innymi uczniami, odmówiła

wała z grupą przyobozową Batalionów Chłopskich, zdobywając lekarstwa i środki finansowe dla więźniów Auschwitz-Birkenau.

Rok 1942 przyniósł jej osobistą tragedię: rodzice Marii zostali aresz-

w 1942 roku, na polecenie Stanisława Mierzwę, południowym szlakiem kurierskim prowadzącym przez Karpaty, przedostała się do Budapesztu. Od stycznia do września 1943 roku pracowała jako maszynistka i sekretarka w placówce rządu RP na uchodźstwie. Jednocześnie została kurierką. Siedmiokrotnie przenosiła tajną pocztę na trasie Kraków-Budapeszt. Za tę działalność otrzymała Krzyż Walczących oraz awans do stopnia porucznika.

W tym okresie jej losy zaczęły splatać się z rodziną Stanisława Mikołajczyka. W lipcu 1942 roku Cecylia Mikołajczyk wraz z szesnastoletnim synem Marianem zostali aresztowani przez Niemców i osadzeni na Zamku Lubelskim. Działaczom ludowym udało się wykupić jedynie syna, a marcu 1943 roku przerzucono go przez Słowację na Węgry. Trafił do polskiego gimnazjum w Balatonboglár, gdzie Maria przygotowywała go do małej matury.



Pracownicy Wydziału Społecznego MSW, Maria Hulewiczowa po środku, w pierwszym rzędzie, Londyn 1944 r. FOT. ZE ZBIORÓW MUZEUM HISTORII POLSKIEGO RUCHU LUDOWEGO

zaśpiewania „I Brygady”. Władze oświatowe uznały demonstrację młodzieży za brak patriotyzmu, a gimnazjum zostało zamknięte. W marcu 1937 roku, pod zmienionym nazwiskiem „Maria Brzeska”, otrzymała legitymację Stronnictwa Ludowego i rozpoczęła pracę w Wydziale Kobiectw. Podczas wyjazdów zagranicznych przewoziła korespondencję opozycji politycznej do działaczy Frontu Morges – Ignacego Paderewskiego oraz gen. Władysława Sikorskiego.

Wojna zmienia wszystko

We wrześniu 1939 roku świat, jaki znała, runął. Jan Hulewicz, którego poślubiła pięć lat wcześniej, opuścił Polskę. Maria odmówiła wyjazdu, co było początkiem końca tego małżeństwa. Zdecydowała się zostać i działać w konspiracji. Dzięki pomocy Stanisława Mierzwę w październiku 1940 roku uzyskała posadę w krakowskiej Radzie Głównej Opiekuńczej. Zaangażowała się w organizację tajnych komitetów gimnazjalnych i współpracowała

z grupą przyobozową Batalionów Chłopskich, zdobywając lekarstwa i środki finansowe dla więźniów Auschwitz-Birkenau. W tym samym czasie gestapo aresztowało Karolinę Lanckorońską, z którą

Maria znalazła się w samym centrum emigracyjnej polityki. Podjęła pracę w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych rządu RP na uchodźstwie

Maria blisko współpracowała. Krąg zagrożenia zaciskał się wokół niej coraz bardziej – również z powodu jej żydowskiego pochodzenia. W obliczu bezpośredniego niebezpieczeństwa,

Londyn i głos wolnej Polski

Jesienią 1943 roku dotarła do Wielkiej Brytanii wraz z synem Mikołajczyka. Londyn był innym światem – bez okupacji, ale nie bez wojny. Maria znalazła się w samym centrum emigracyjnej polityki. Podjęła pracę w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych rządu RP na uchodźstwie. Szybko stała się jedną z najbliższych współpracownic Stanisława Mikołajczyka.

Równocześnie rozpoczęła działalność publicystyczną. Współpracowała z radiostacją „Świt”, skąd do okupowanej Polski płynął głos wolnego świata – informacje, które podtrzymywały nadzieję i demaskowały niemiecką propagandę. To wtedy powstała jej książka „Oczami kobiety. Życie w Polsce pod okupacją niemiecką” – jedna z pierwszych relacji o niemieckim terrorze opublikowanych na Zachodzie Europy i w Ameryce, którą przełożono na język angielski i portugalski. Przygotowywała również angloję-

zyczne biuletyny informacyjne, które trafiały na biurka najważniejszych zachodnich przywódców, w tym Winstona Churchilla i Franklina D. Roosevelta. Każdy tekst był próbą przebicia się z prawdą o okupowanej Polsce w świecie, w którym polityczne kalkulacje coraz częściej wygrywały z moralnymi imperatywami. Organizowała także w Londynie promocje emigracyjnych publikacji poświęconych sprawie polskiej – w szczególności „Tajnego państwa” Jana Karskiego.

Miłość i polityka

W tym czasie relacja ze Stanisławem Mikołajczykiem przekroczyła zawodowe granice. Maria zakochała się w liderze ludowców bez reszty. Nie był dla niej jedynie przełożonym czy politykiem emigracyjnym. Stał się mężczyzną, z którym wiązała swoją przyszłość – także po wojnie. W lipcu 1945 roku wrócili razem do Polski. Mikołajczyk objął stanowisko wicepremiera i ministra rolnictwa, Maria została kierowniczką jego sekretariatu. Zamieszkali razem. Nie ukrywali swojego związku. W zrujnowanej, powojennej Warszawie panowało jeszcze przekonanie, że lider Polskiego Stronnictwa Ludowego stanie się przywódcą demokratycznej opozycji wobec narzuconej władzy komunistycznej. Na ulicach skandowano: „Anders, Maczek, Mikołajczyk!”. Przez chwilę wydawało się, że historia może potoczyć się inaczej.

Szybko okazało się, że to jedynie mrzonki. Sfałszowane wybory w styczniu 1947 roku przekreśliły złudzenia. Bezpieka zacieśniała krąg wokół Mikołajczyka i jego współpracowników. Jesienią 1947 roku zapadła decyzja o ucieczce. Amerykanie zgodzili się pomóc, ale pod jednym warunkiem: Mikołajczyk musi uciekać sam. Maria została. Miała przedostać się na Zachód oddzielnie, przez Czechosłowację. W październiku 1947 roku, podczas próby ucieczki, została zatrzymana.

Trafiła do aresztu Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego w Warszawie. Dla niej był to początek wieloletniego koszmaru.

Śledztwo bez litości

Maria Hulewiczowa została poddana wyjątkowo ciężkiemu śledztwu. Wzywana codziennie, nierzadko w nocy, na przesłuchania, starała się nie ujawnić ubeckim śledczym tajemnic byłego premiera. Przez pierwsze tygodnie przetrzymywano ją w izolatce – w celi „kapiącej wilgocią, nieogrzewanej zimą”. Strażnicy szydzili, że „opuści tę celę, ale z gruźlicą”. Stałe przebywanie w zimnie i wilgoci doprowadziło do ciężkiego odmrożenia nóg. W stanie skrajnego wyczerpania psychicznego została zmuszona do podpisania oświadczenia, w którym wyrażała zgodę na ewentualną amputację jednej z nich. Dopiero wtedy przeniesiono ją do innej celi. Natychmiast dokwaterowano do niej agentkę, która sporządzała doniesienia dla funkcjonariuszy UB. Maria zwierzała się jej, że „kocha Stacha” i nigdy o nim nie zapomni, a to, co znosi przez niego tutaj, tylko wzmocni ich uczucie. Agentka na bieżąco raportowała funkcjonariuszom UB, że Hulewiczowa „jest wyczerpana nerwowo, boi się każdego wezwania na górę i reaguje na każde uderzenie kłuciami. Ma paniczny strach przed nocnym przesłuchaniem”. Najbardziej bała się płk. Józefa Różańskiego, dyrektora Departamentu Śledczego Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Uważała go za swojego największego wroga. Była przekonana, że mści się na niej za ucieczkę Mikołajczyka – ucieczkę, która miała opóźnić jego awans o całe dwa lata.

Proces pokazowy

W październiku 1951 roku rozpoczął się proces Marii Hulewiczowej i współpracowników Mikołajczyka. „Trybuna Ludu” podkreślała, że oskarżeni potwierdzili w zeznaniach bliską współ-



Maria Hulewiczowa, 1960 r. FOT. ZE ZBIORÓW MUZEUM HISTORII POLSKIEGO RUCHU LUDOWEGO

Gdy została zwolniona w 1954 roku, Maria Hulewiczowa była już tylko cieniem dawnej siebie. Schorowana, rozzarowana, nieustannie obserwowana przez bezpiekę

pracę „kliki mikołajczykowskiej” z przedstawicielami ambasady amerykańskiej, którzy zorganizowali ucieczkę prezesa Stronnictwa z Polski. Prokurator określił Marię Hulewiczową jako „starą działaczkę dywersyjną PSL-owską w jak najgorszym tego słowa znaczeniu”. Omawiał jej działalność w radiostacji „Świt” oraz „gromadzenie i przesyłanie materiałów szpiegowskich” za granicę. „Życie Warszawy” pisało, że po przedostaniu się do Wielkiej Brytanii Maria, „realizując linię polityczną Mikołajczyka”, uczestniczyła w organizacji „zakonspirowanej radiostacji »Świt«”, prowadzącej dywersję przeciwko ZSRR i ruchowi



Maria Hulewiczowa w towarzystwie red. Zygmunta Augustyńskiego (w środku) i Stanisława Mikołajczyka FOT. ZE ZBIORÓW MUZEUM HISTORII POLSKIEGO RUCHU LUDOWEGO



Janusz Przymanowski z żoną Marią Hulewiczową FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (WWW.NAC.GOV.PL)

lewicowemu w kraju. Po powrocie z Mikołajczykiem do Polski, twierdząco, że gromadziła „oszczercze materiały, szkalujące Polskę Ludową, dane o działalności band i podziemia politycznego oraz tajne informacje gospodarcze i polityczne”. Na ich podstawie zagraniczne ośrodki PSL w Londynie, Rzymie, Chicago i Paryżu prowadziły wrogą propagandę. Inny artykuł „Życia Warszawy” wskazywał, że Maria kontaktowała się z kierownikiem wywiadu WiN, P. Lewandowskim, oraz z francuskim korespondentem Marshalllem, któremu Mikołajczyk w swoim mieszkaniu przekazał informacje stanowiące tajemnicę państwową.

Wyrok był przesądzony: siedem lat więzienia. Wyrokiem sądu odebrano jej również Krzyż Walecznych.

Drugie spotkanie z Różańskim

Gdy została zwolniona w 1954 roku, Maria Hulewiczowa była już tylko cieniem dawnej siebie. Schorowana, rozczarowana, nieustannie obserwowana przez bezpiekę. Wyjechała do Krakowa. Mąż, Jan Hulewicz, załatwił jej kurację w domu wypoczynkowym Polskiej Akademii Nauk w Zakopanem. Miała żal do Mikołajczyka – wspominała druga żona prof. Hulewicza – że *wyjeżdżając z Polski nie wziął jej ze sobą. Musiała próbować ucieczki za granicę i to jej się nie udało.*

Była „trędowata”. Nigdzie nie mogła znaleźć stałego zatrudnienia. Pracowała dorywczo, przy pracach zleconych. Trafiła do Państwowego Instytutu Wydawniczego i nieśmiało zwróciła się do Ireny Szymańskiej z prośbą o przekład z języka francuskiego. Wychodząc, zajrzała jeszcze do sekretariatu dyrektora, chcąc się przedstawić. Weszła do gabinetu, spojrzała i osunęła się, zemdlona. Na stanowisku dyrektora PIW pracował bowiem niedawny szef Departamentu Śledczego MBP, Różański, który kilka miesięcy później został aresztowany.

Maria Hulewiczowa po październiku 1956 roku odmówiła procesu rehabilitacyjnego. Nie przyjęła też odszkodowania za pobyt w więzieniu w wysokości 30 tys. złotych.

Maria Przymanowska

Pod koniec lat 50. przeniosła się do Warszawy. Jesienią 1960 roku otrzymała przydział na dwupokojowe mieszkanie na warszawskiej Starówce. W 1964 roku wyszła za mąż za Janusza Przymanowskiego, oficera ludowego WP i literata. Opisywał ją jako „współpartnerkę w dyskusjach nad pomysłami i pierwszą czytelniczkę”. Razem z mężem napisała, na podstawie jego powieści, scenariusz do serialu telewizyjnego „Czterej pancerni i pies”. Stefan Kisielewski dziwił się w swoim „Dzienniku”, że osoba z taką przeszłością wyszła za mąż za „komunistycznego fagasa”, jak Janusz Przymanowski i jeszcze do tego fałszowała z nim historię. Ogromny sukces książki i serialu sprawił, że Maria i Janusz Przymanowscy stali się zamożni. Kupili willę w ekskluzywnej części warszawskiego Mokotowa, mieli gospozię, a pod koniec lat 60. własny samochód. Podróżowali po Europie, bywali na Kubie, w Egipcie i USA.

W trakcie drugiego małżeństwa MSW zakończyło sprawę jej rozpoznania operacyjnego, uznając, że *odbycie kary, zmiana miejscowości zamieszkania i powtórne małżeństwo z człowiekiem wielce zasłużonym w PRL, wpłynęły na całkowite zerwanie z przeszłością i poprzednim środowiskiem.* – *Wymieniona jest obecnie literatem, pracuje w domu, zajmuje się kulturą staroeuropejską i razem z mężem często wyjeżdża za granicę. Nie stwierdzono, aby figurantka nawiązywała na terenie W-wy kontakty z byłymi aktywnymi działaczami byłego PSL – czytamy w dokumencie.* Maria Hulewicz zmarła w Warszawie 15 marca 1978 roku. Miała 64 lata.

Zamek śmierci pod Linzem

– akcja T4 i śledztwo IPN w sprawie polskich ofiar

TEKST | Norbert Nowotnik

Zamek Hartheim koło Linzu był jednym z pierwszych miejsc w Europie, gdzie III Rzesza zastosowała gaz do systematycznego zabijania ludzi. W ramach Akcji T4 mordowano tam osoby chore i niepełnosprawne, a później także więźniów obozów koncentracyjnych. Wśród ofiar byli również obywatele II Rzeczypospolitej. Po kilkudziesięciu latach ich śmierć stała się przedmiotem śledztwa Instytutu Pamięci Narodowej.

Zamek Hartheim w miejscowości Alkoven, kilkanaście kilometrów od Linzu, przez wieki pełnił funkcję arystokratycznej rezydencji, a od końca XIX wieku domu opieki związanego ze Zgromadzeniem Sióstr Miłosierdzia. Wkrótce po włączeniu Austrii do III Rzeszy zamek przejęły nowe władze i przekształciły go w jeden z głównych ośrodków realizacji programu T4. W jego wnętrzach urządzono komorę gazową upozorowaną na „łaźnię” oraz krematorium. Transporty przybywały regularnie, najczęściej pod pozorem leczenia bądź przeniesienia do innej placówki, a sam zamek stał się miejscem, w którym proces uśmiercania włączono w standardowe procedury administracyjne. – *Zbrodnia ta była możliwa, ponieważ w nazistowskich Niemczech urzeczywistniono niszczenie „mniej wartościowego życia” jako logiczną konsekwencję eugenicznej polityki społecznej. Mordowanie osób „mniej wartościowych” i poparcie państwa dla „zdrowych przedstawicieli narodu” stanowiły dwie strony polityki, której celem było stworzenie*

idealnego społeczeństwa, zdrowej, aryjskiej wspólnoty narodowej – można przeczytać we współczesnym przewodniku po Hartheim.

„Życie niewarte życia”

Fundamentem zbrodni była narodowosocjalistyczna ideologia higieny rasowej, która w nazistowskich Niemczech została podniesiona do rangi polityki państwowej. Opierała się ona na przekonaniu o konieczności ochrony „ciała narodowego” przed rzekomą biologiczną degradacją. Kluczowym pojęciem stało się „lebensunwertes Leben” (życie niewarte życia), wprowadzone przez prawnika Karla Bindinga i psychiatrę Alfreda Hoche. W ich ujęciu osoby chore psychicznie, z niepełnosprawnościami lub wadami wrodzonymi przedstawiano jako ciężar ekonomiczny i genetyczny dla społeczeństwa. Hoche uważał np., że osoby z niepełnosprawnością intelektualną czy chorobami psychicznymi są „duchowo martwe” i stanowią „ludzki balast”. Z kolei z punktu widzenia Bindinga, państwo miało prawo eliminować takie osoby, ponieważ

FOT. MATERIAŁY PRASOWE MIEJSCA NAUKI I PAMIĘCI HARTHEIM CASTLE



ich utrzymanie było nieuzasadnionym ciężarem dla „zdrowej” części społeczeństwa.

Pseudonaukowe uzasadnienie tej polityki wyrastało z prymitywnego darwinizmu społecznego. Naziści przekonywali, że natura eliminuje jednostki słabsze, a nowoczesna medycyna zakłóca „porządek ewolucji”, ratując chorych. W tym ujęciu państwo miało przejąć rolę arbitra selekcji, nadając przemocy pozór racjonalności i konieczności. Np. w wymiarze ekonomicznym propaganda nazistowska odwoływała się do wyliczeń. – *Z plakatów drukowanych przez Biuro Po-*



Jedyné znane zdjęcie przedstawiające ciemny dym unoszący się z komina krematorium wykonane przez mieszkającego w sąsiedztwie zamku Karla Schuhmanna w 1940 lub 1941 r. FOT. MATERIAŁY PRASOWE MIEJSCA NAUKI I PAMIĘCI HARTHEIM CASTLE

lityki Rasowej NSDAP, na których przedstawiano ludzi upośledzonych umysłowo, krzyczały słowa: „60 000 marek Rzeszy kosztuje utrzymanie osoby upośledzonej. Towarzyszu! To także Twoje pieniądze!” – przypomniała dr hab. Joanna Lubecka, historyk i politolog z UPJPII i IPN.

Akcja T4 – państwowy program mordu

– Żądanie, aby ludzie upośledzeni nie mogli rozmnażać równie upośledzonego potomstwa, jest żądaniem najczystszej racji i jeśli zostanie systematycznie wykonane, będzie sta-

nowiło najbardziej humanitarny akt ludzkości... W razie potrzeby nieuleczalnie chorzy zostaną bezlitośnie odizolowani – napisał w „Mein Kampf” Adolf Hitler, który ostatecznie – już jako przywódca III Rzeszy – zalegał z praktykę „uśmiercania z litości” osób uznanych za niepożądane.

Bezpośrednim impulsem do rozpoczęcia masowych mordów był tajny dekret Hitlera sporządzony na jego prywatnym papierze listownym i antydatowany na 1 września 1939 roku, aby nadać operacji pozór środka wojennego. Antydatowanie na początek konfliktu zapewniało dogodną osłonę

dla działań prowadzonych poza realną kontrolą społeczną. – *Reichsleiter Bouhler i dr med. Brandt są odpowiedzialni za rozszerzenie uprawnień konkretnych lekarzy, tak aby pacjentom uznanym za nieuleczalnie chorych, po krytycznej ocenie ich stanu zdrowia, można było przyznać łaskawą śmierć* – stwierdził Hitler. W ocenie historyków użycie eufemizmu „łaskawa śmierć” miało zasadnicze znaczenie psychologiczne i prawne. Dokument nie przyjął formy ustawy, lecz osobistego rozkazu Führera, który w realiach nazistowskiego państwa miał nadrzędną rangę wobec standardowego ustawodawstwa. Karl Brandt, osobisty lekarz Hitlera, oraz szef Kancelarii Führera Philipp Bouhler (to jemu przypisuje się pomysł wykorzystania komór gazowych do uśmiercania ludzi), stworzyli sprawnie działający aparat administracyjny, wspierany przez sieć organizacji faszystowskich – takich jak „Wspólnota Interesów Zakładów Opiekuńczych Rzeszy” – mających maskować udział państwa w systematycznym zabijaniu.

Kluczowym przedsięwzięciem na rzecz polityki likwidacji „istnień niewartych życia” była Akcja T4, prowadzona od 1939 roku, której nazwa pochodziła od adresu berlińskiej siedziby programu przy Tiergartenstrasse 4. Program zakładał eliminację osób uznanych za „niegodne życia”: chorych psychicznie, osób z niepełnosprawnością intelektualną oraz dzieci z wadami rozwojowymi. Tak pisze o tym cytowana już Joanna Lubecka: *Pierwszymi ofiarami eutanazji, a zarazem królikami doświadczalnymi w przygotowywaniu akcji na wielką skalę były dzieci. Alfred Ploetz, jeden z twórców koncepcji higieny rasowej, pisał już w 1895 roku, aby o losie słabych noworodków i „krnąbrnych” dzieci decydowało kolegium lekarzy, którzy mogliby podjąć decyzję o uśmierceniu dziecka małą dawką morfiny. Selekcja odbywała się na podstawie*

formularzy i opinii lekarskich, zazwyczaj bez bezpośredniego badania pacjentów, a o losie człowieka decydowały symbole nanoszone przy nazwiskach. Wytypowane osoby transportowano do specjalnych ośrodków, gdzie zabijano je tlenkiem węgla, natomiast rodzinom przekazywano fałszywe akty zgonu informujące o rzekomych przyczynach naturalnych, takich jak zapalenie płuc czy niewydolność serca. Szacuje się, że w latach 1940–1941 liczba ofiar programu sięgnęła ok. 70 tys. osób.

Hartheim funkcjonował jako jeden z sześciu ośrodków „eutanzji”. Personel tworzyli Niemcy i Austriacy, a w ciągu kilku lat, do 1944 roku, zamordowano tam ok. 30 tys. ludzi – przede wszystkim osoby chore psychicznie i z niepełnosprawnościami z zakładów opiekuńczych południowej Austrii, a później także więźniów obozów koncentracyjnych uznanych za niezdolnych do pracy, m.in. z Mauthausen, Dachau i Ravensbrück.

Hartheim jako poligon późniejszej zagłady

Zamek Hartheim pełnił rolę nie tylko ośrodka eksterminacji, ale i poligonu doświadczalnego dla technologii gazowania, które później zastosowano na skalę przemysłową w Treblince, Bełżcu, Chełmnie nad Nerem i Auschwitz-Birkenau. Kwestia ta dotyczyła również organizacji transportów, fałszowania dokumentacji czy psychologicznego dystansowania sprawców od ofiar. Personel zdobywał doświadczenie, które później wykorzystano w obozach zagłady.

Historycy podkreślają, że to właśnie w ramach T4 wypracowano model „przemysłowego mordu”, który następnie zastosowano wobec Żydów w ramach Holokaustu, a także wobec innych narodów, które Niemcy określali mianem podludzi. Zbrodnia została włączona w aparat państwowy, a jej wykonanie powierzono lekarzom

i urzędnikom. Dodatkowo, w 1941 roku, program T4 rozszerzono na więźniów obozów koncentracyjnych w ramach operacji 14f13. Oficjalnie chodziło o „zwolnienie z obozów osób trwale niezdolnych do pracy” – chorych, wycieńczonych, rannych lub w podeszłym wieku. Spędzano ich nago na plac apelowy, niezależnie od warunków atmosferycznych, a lekarze SS dokonywali kwalifikacji wyłącznie na podstawie powierzchownej oceny stanu fizycznego, w tym sposobu poruszania się. Zakwalifikowanych kierowano do tzw. transportów inwalidzkich, a jako miejsce docelowe wskazywano np. fikcyjnie „sanatorium w Dachau”. Sporadycznie pojawiała się nazwa Hartheim lub litera „H”, nadal funkcjonująca w dokumentacji jako ośrodek leczniczy, co miało maskować rzeczywisty cel wywózki. Dla administracji SS operacja 14f13 stanowiła narzędzie „odciążenia” obozów i eliminacji osób uznanych za „nieproduktywne”.

Polskie śledztwo IPN

Wśród zamordowanych w Hartheim byli również obywatele polscy. Trafiali tam zarówno pacjenci szpitali psychiatrycznych z ziem wcielonych do Rzeszy, jak i więźniowie obozów koncentracyjnych. Transporty kierowano m.in. z KL Mauthausen i jego podobozów. W dokumentach często zacierano narodowość ofiar, zastępując ją suchą kategorią administracyjną. Dlatego dziś trudno precyzyjnie ustalić liczbę Polaków zamordowanych w Hartheim, jednak historycy wskazują na tysiące osób, których nazwiska wciąż pozostają nieznanne.

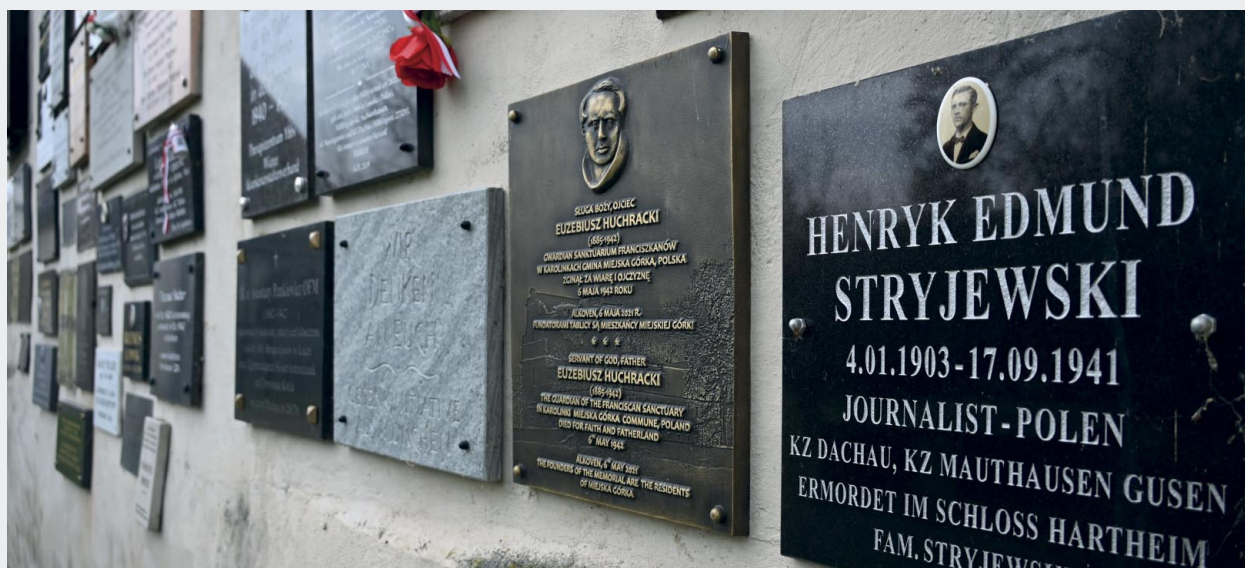
Do sprawy powróciła polska prokuratura. Śledztwo dotyczące obywateli polskich zamordowanych w Hartheim prowadził prok. Marek Rabiega z Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, działającej w ramach IPN. W obszernym materiale związanym z tym postępowaniem

i opublikowanym na stronach Instytutu można poznać mechanizm zbrodni. Dowiadujemy się z niego, że załoga ośrodka w Hartheim, licząca około 70 osób, została skompletowana w kwietniu 1940 roku, a wkrótce potem zaczęły napływać pierwsze transporty ofiar.

– *Osoby te transportowane były koleją lub specjalnie do tego celu przystosowanymi autobusami (posiadały np. zamalowane szyby, były to samochody oznaczone znakami Niemieckiej Poczty Rzeszy). Każdemu autobusowi towarzyszyły oprócz kierowcy dwie osoby personelu pielęgniarskiego. Transporty liczyły ok. 40–150 osób – czytamy w dokumencie. Po przybyciu kierowano je bezpośrednio do rozbieralni, gdzie lekarze jak np. Georg Renno dokonywali pozornych oględzin i ewidencji. W praktyce koncentrowano się na przygotowaniu fałszywej przyczyny śmierci, wybieranej z listy opracowanej przez centralę T4 w celu uniknięcia powtarzalności wpisów mogących wzbudzać podejrzenia.*

– *Wszystkie osoby stemplowano na ramieniu bądź piersi numerem bieżącym. Osoby posiadające złote zęby lub mostki oznaczane były na plecach czerwonym krzyżykiem. Wartownicy SS, jak i personel zachowywali się wobec ofiar wulgarnie i brutalnie. Często zmuszali do spokoju przestraszone dzieci, czy przezuwających swój los dorosłych. Czasami najbardziej przestraszonych pacjentów pielęgniarki znieczulały zastrzykami z morfiny. Po oględzinach wartownicy (funkcjonariusze SS) prowadzili te osoby, celem wykonania zdjęcia a następnie (po około kilkadziesiąt osób) do komory gazowej (imitującej łaźnię), gdzie przeprowadzano ich zagazowanie – czytamy.*

Gaz doprowadzany przez ok. 10 minut, a zawór obsługiwał lekarz lub palacz. Śmierć następowała w męczarniach – ofiary wpadały w panikę, dusiły się, doświadczały silnego lęku,



Ściana z tablicami pamiątkowymi poświęconymi ludziom zamordowanym w Hartheim
FOT. MATERIAŁY PRASOWE MIEJSCA NAUKI I PAMIĘCI HARTHEIM CASTLE

zawrotów głowy i bólu. Cyjanowodor powodował stopniowe porażenie ośrodków oddechowych i wewnętrzne uduszenie. Po półtorej godzinie otwierano komorę. Zeznania palacza krematoryjnego Vincenza Nohela wskazują, że ciała bywały splątane i trudne do rozdzielania. Zwłoki przeciągano po wykafelkowanej posadzce do krematorium, usuwano złote zęby, a następnie spalano po kilka jednocześnie. Niedopalone kości mielono, a prochy rozrzucano lub zakopywano w okolicy. Rzeczy osobiste ofiar przejmowało niemieckie państwo, a cały proces – od przyjazdu transportu do zatarcia śladów – trwał zaledwie kilka godzin.

Polskie śledztwo, dzięki któremu ustalono, że w Hartheim zagazowano nie mniej niż 1604 polskich obywateli, w tym duchownych, przypominało, że ofiary tego systemu miały konkretne imiona i obywatelstwo. W postępowaniu przeanalizowano niemieckie i austriackie archiwa, listy transportowe oraz dokumentację medyczną. W wielu przypadkach odnajdywano jedynie szczątkowe informacje: imię, nazwisko i datę śmierci. Należy pamiętać, że ofiary akcji T4 były rozproszone, a mechanizm działania ukryty pod językiem medycyny. Przez lata temat budził opór społeczny, bo do-

tyczył zabijania osób chorych przez lekarzy, z kolei w Polsce dodatkowo przesłaniały go inne doświadczenia okupacyjne. Badania IPN pokazują jednak, że był to kluczowy etap w rozwoju niemiecko-nazistowskiej polityki zagłady.

Główni sprawcy i powojenna pamięć

Ośrodkiem w Hartheim kierował dr Rudolf Lonauer, esesman, który równolegle zarządzał zakładem psychiatrycznym w Niedernhart. To on ponosi bezpośrednią odpowiedzialność za funkcjonowanie mechanizmu masowego uśmiercania i śmierć tysięcy ludzi. Jego zastępcą był Georg Renno, który jako lekarz dokonywał wstępnych „ogłędzin” ofiar, sporządzał fikcyjne przyczyny zgonu, wydawał polecenia kierowania ludzi do komór gazowych, a następnie obsługiwał zawór doprowadzający tlenek węgla i kontrolował skuteczność zagazowania. Nadzorcą personelu był Christian Wirth, który z Hartheim trafił następnie do Generalnego Gubernatorstwa, gdzie współorganizował obozy zagłady w Chełmnie nad Nerem, Bełżcu, Sobiborze i Treblince. Istotną rolę odgrywał również Franz Stangl, nadkomisarz policji w Hart-

heim w latach 1940–1942, późniejszy komendant obozów w Sobiborze i Treblince.

Pod koniec 1944 roku, wobec zbliżającej się klęski III Rzeszy, naziści podjęli próbę zatarcia śladów zbrodni w Hartheim. Komory gazowe zostały zdemontowane, instalacje krematoryjne usunięte, a pomieszczenia przebudowane tak, by wyglądały na biura lub magazyny. Dokumentacja papierowa została w większości spalona. Po wojnie przeprowadzono procesy przeciwko części personelu, jednak należy pamiętać, że przez dekady akcja T4 funkcjonowała w świadomości społecznej jedynie jako „kontrowersyjna eutanazja”, a nie jako zbrodnia ludobójstwa. Dopiero w latach 80. i 90. zaczęto systematycznie badać skalę tych mordów i ich związek z późniejszym Holokaustem. Przez wiele lat po wojnie zamek Hartheim nie pełnił też funkcji upamiętniającej. Dopiero pod koniec lat 60. na jego terenie postawiono pierwszy pomnik, a od lat 90. zaczęto tworzyć profesjonalne muzeum. Obecnie Hartheim jest miejscem edukacji o wartości życia, a stała wystawa „Wert des Lebens” stara się łączyć historię ofiar niemieckiego nazizmu z refleksją nad prawami osób niepełnosprawnych we współczesnym świecie. ■



TEKST | Grzegorz Majchrzak

◀ Konferencja prasowa BIPS (Biuro Informacji Prasowej Solidarność) podczas I Krajowego Zjazdu Delegatów NSZZ „Solidarność”, stanowisko dziennikarzy z radia „Solidarność” Regionu Mazowsze FOT. XXXXXXXX

gnał wywoławczy (frazę z „Czterech pór roku” Antonio Vivaldiego).

Pierwszą kasetę dla radiowców zakładowych przygotowano 7 lutego 1981 roku – był to jednogodzinny magazyn poświęcony m.in. staraniom Solidarności o dostęp do środków masowego przekazu i kwestii rejestracji związków rolniczych. Zawierał on też reportaże (np. z Sądu Wojewódzkiego w Warszawie), wywiad z przewodniczącym KKP Lechem Wałęsą i felieton na temat taktyki władz PRL wobec związku. W kolejnych – przygotowywanych raz w tygodniu – programach zachowano formułę magazynu. Był on wzbogacony o nagrania kabaretów i piosenki autorów związanych ze związkiem. Co niezwykle Radio „Soli-

Kryptonim „Hermes 1981” – radiowęzły przeciwko komunie

W sierpniu 1980 roku radiowęzły zakładowe, zbudowane przez komunistyczne władze w celu indoktrynacji robotników, zostały wykorzystane przez strajkujących w Gdańsku do transmisji negocjacji. Nic zatem dziwnego, że kiedy powstała NSZZ „Solidarność”, sięgnęli po nie również związkowcy, m.in. w Warszawie, gdzie utworzono Radio „Solidarność” Regionu Mazowsze.

Inicjatorem i propagatorem Radia „Solidarność” był dziennikarz telewizyjny Marek Chlebowicz, który w grudniu 1980 roku nawiązał kontakt w tej sprawie z pracownikami Polskiego Radia – najpierw z Krzysztofem Oczkowskim, a za jego pośrednictwem z Jerzym Farnerem, Janem Markiem Owsieńskim i Janiną Jankowską. Decyzja w sprawie utworzenia

związkowej redakcji radiowej zapadła w styczniu 1981 roku, podczas spotkania z doradcą Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego Regionu Mazowsze Januszem Onyszkiewiczem (odpowiedzialnym m.in. za informację) i rzecznikiem prasowym Krajowej Komisji Porozumiewawczej NSZZ „Solidarność” Karolem Modzelewskim. Wtedy też uzgodniono jej nazwę i sy-

darność” mieściło się w siedzibie PR, a dokładniej Programu III przy Myśliwieckiej, wykorzystując „na dziko” jego sprzęt. Okazało się to możliwe dzięki cichemu wsparciu pracowników PR, a zwłaszcza inżynierów dyżurnych, którzy udostępniali klucze do studia radiowego.

Ta rozgłośnia funkcjonowała do 13 grudnia 1981 roku, przygotowy-

jąc w tym czasie kilkadziesiąt kaset z 60-minutowymi magazynami informacyjnymi, 18 kaset z relacjami z I Krajowego Zjazdu Delegatów NSZZ „Solidarność”, kilkanaście kaset monograficznych zawierających reportaże, a nawet adaptację radiową „Małej apokalipsy” Tadeusza Konwickiego, którego dzieła nawet w tzw. solidarnościowym karnawale były objęte zapisem cenzorskim. Wbrew swojej nazwie nie była ona rozgłosnią regionalną – jej kasety trafiały do zakładów pracy na terenie całego kraju. Radio rejestrowało posiedzenia władz krajowych związku, KKP, Komisji Krajowej i I KZD a także miało współpracowników w innych regionach kraju, m.in. Lublinie, Poznaniu i Szczecinie. To właśnie dzięki nagraniom Radia „Solidarność” w latach 1984–1989 – w ramach podziemnego Stowarzyszenia Archiwum Solidarności – wydano ponad 20 książek, w tym stenogramów posiedzeń władz krajowych związku.

Kryptonim „Hermes 1981”

Działalność stołecznego radia była pilnie śledzona przez Służbę Bezpieczeństwa, a konkretnie przez cywilny kontrwywiad. 11 kwietnia 1981 roku w Wydziale XIII Departamentu II MSW (odpowiedzialnym m.in. za „operacyjną ochronę” Komitetu ds. Radia i Telewizji, przygotowano wniosek o założenie sprawy operacyjnego rozpracowania pod kryptonimem „Hermes 1981”. Trzy dni później został on zatwierdzony przez naczelnika tego wydziału. Celem rozpracowania było – jak stwierdzano – „potwierdzenie i udokumentowanie wrogiej działalności wymierzonej przeciwko PRL i ustalenie osób prowadzących tę działalność”.

Wydawało się to tym łatwiejsze, że w skład zespołu radia wchodził tajny współpracownik TW „Mikołaj”, czyli Marek Chlebowicz, który od 1976 roku był wykorzystywany przez SB

w „zakresie kontrwywiadowczej ochrony kraju”. To zresztą na podstawie jego informacji z początku kwietnia 1981 roku, czyli dopiero dwa miesiące po wydaniu pierwszej kasety i niemal 5 miesięcy po uruchomieniu prac nad tą solidarnościową rozgłosnią, podjęto decyzję o podjęciu rozpracowania Radia „Solidarność”. I trudno się temu dziwić, skoro – jak stwierdzał w rozmowie z esbekiem TW „Mikołaj” –



Warszawa 1981 r. Janina Jankowska, dziennikarka i reporterka radiowa, działaczka opozycji demokratycznej w okresie PRL
FOT. PAP/MACIEJ BELINA BRZDOWSKI

Radio „Solidarność” mieściło się w siedzibie PR, a dokładniej Programu III przy Myśliwieckiej, wykorzystując „na dziko” jego sprzęt

radio było jego „dzieckiem”. Początkowo zresztą nie chciał o nim za dużo mówić, aby – jak argumentował – „przypadkowo nie wykorzystano tego przeciwko niemu”. Ostatecznie poinformował, że audycje od około dwóch miesięcy „powstają pod jego nadzorem”, a w działalność radia zaangażowanych jest „około 16 dziennikarzy” z całego kraju (głównie z Warszawy).

Wymienił też osoby współpracujące z radiem (m.in. Stefana Bratkowskiego, Daniela Olbrychskiego i Andrzeja Wajdę). To dzięki niemu SB wiedziała, że kasety przygotowywane są w nakładzie 300–400 sztuk, a nawet знаła system ich dystrybucji – nagrania trafiały do Regionu „Mazowsze”, skąd odbierali je kurierzy z całego kraju, „przywożąc czystą kasetę oraz wpłacając 30 zł” na konto regionu. Informował też, a właściwie dezinformował on swoich przełożonych z Rakowieckiej, że nagrania powstają w warunkach domowych.

Szybko, bo już 22 kwietnia 1982 roku – dzięki zastosowaniu techniki operacyjnej (m.in. podsłuchu pokojowego i telefonicznego) SB – udało się ustalić skład zespołu redakcyjnego (zaliczono do niego 8 osób), personalia 10 osób odbierających kasety i kolejnych 20 osób zainteresowanych kontaktami z redakcją.

Co wiedzieli esbecy?

Bezpieka znała plany i zamierzenia redakcji. I tak np. dysponowała – na podstawie „relacji sprawdzonego źródła” – informacjami o przebiegu spotkania 2 czerwca 1981 roku (w tym o planowanym wywiadzie z ekonomistą Ryszardem Bugajem na temat reformy gospodarczej, nagraniu spektaklu „Relacje” wystawianego w Teatrze Małym, zamiarze organizacji studia radiowo-telewizyjnego wyposażonego w sprzęt sprowadzony z zagranicy czy też o nagraniu w siedzibie Programu III PR audycji poświęconej Ośrodkowi Badań Społeczno-Zawodowych Regionu Mazowsze z udziałem m.in. Antoniego Macierewicza). W przypadku tego ostatniego wątku – wykorzystania siedziby i sprzętu PR przez działaczy Radia „Solidarność”. SB dokonała dalszych ustaleń. Jak informował – w dniu 12 października 1981 roku – TW „Łaskawski”: Jerzy Farner, Janina Jankowska i Teresa Szopówna „dokonują przeważnie w go-

dzinach wieczornych w obiekcie PR przy ul. Myśliwieckiej” nagrań audycji na potrzeby mazowieckiej Solidarności.

Podobne informacje przekazała SB tego samego dnia również TW „Rita”. Stwierdzała ona również, że o zaistniałej sytuacji wie kierownictwo Komitetu ds. Radia i Telewizji, ale nie wyciąga z tego żadnych wniosków. Z kolei 20 października esbecy – z „wiarogodnego źródła” – dowiedzieli się o planach reorganizacji radia: *W najbliższym czasie redakcja przekształci się w Związkową Agencję Radiową, dążącą do samofinansowania, z podziałem na dwie części – Redakcję Programów dla Radiowców i „Wydawniczą”, która miałaby się zajmować wydawaniem kaset specjalnych.* Było to związane ze wspomnianymi wcześniej zamiarami przeniesienia radia do siedziby Regionu Mazowsze.

TW „Mikołaj” – współzałożyciel radia i główne źródło wiedzy SB

Dzięki TW „Mikołajowi” SB orientowała się też w sytuacji panującej w zespole radia. 3 grudnia 1981 roku informował on np., że Chlebowicz zamierza – do połowy stycznia 1982 roku – wycofać się z działalności w radiu z powodu poczynañ Farnera. Ten ostatni miał – jego zdaniem – doprowadzić do rozbicia zespołu oraz „ubezwłasnowolnienia» programowego” Chlebowicza. Jak mu zarzucał „Mikołaj” miał on też próbować nie dopuszczać niektórych materiałów do kolportażu, m.in. skasować „kasetę matkę” z wywiadami z członkiem działającego w marcu 1981 roku Krajowego Komitetu Strajkowego, w których to „mówiono o sposobie przejęcia kontroli nad państwem”. To również on miał rzekomo doprowadzić do odejścia z redakcji Andrzeja Jeleńskiego i Maryny Miklaszewskiej.

Tak na marginesie, Jerzy Farner był chyba pierwszą osobą, która domyśli-

ła się związków z bezpieczeńką Marka Chlebowicza. Jak informował ten ostatni, zarzucał mu on, że „jest agentem UB, gdyż przez kilka miesięcy w jego domu był umieszczony cały sprzęt i archiwum radia, a także przychodzili tam ludzie z całej Polski i nikt nim ani jego mieszkaniem się nie interesował (co go dziwi), gdy tymczasem znane są akcje (choćby we Wrocławiu, Katowicach) przeciwko związkowym środkom przekazu”. Zaalarmowana SB postanowiła w tej sytuacji przeprowadzić „w przeciągu najbliższego miesiąca” kombinację operacyjną w celu „wyprowadzenia” ze składu redakcji Farnera – ze względu na stan wojenny jednak do tego nie doszło.

Formalnie rozpracowanie zakończono jednak dopiero w dniu 25 stycznia 1983 roku

Zagrożenie dla... ustroju

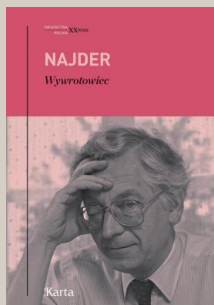
Pod koniec sierpnia 1981 roku przygotowano plan przedsięwzięć operacyjnych wobec radia. Stwierdzano w nim, że „uzyskane materiały świadczą o prowadzeniu przez [...] zespół redakcyjny działalności politycznej zmierzającej do podważenia zasad ustrojowych PRL”. Sprecyzowano kierunki pracy operacyjnej: szczegółowa kontrola i rozpoznanie działalności redakcji (m.in. współpracy z osobami i instytucjami z kraju i zagranicy), dokumentowanie działalności skierowanej przeciwko PRL (w tym ewentualnie uzyskanie materiałów procesowych) oraz zdobycie materiałów pozwalających na kompromitację grupy redakcyjnej (do wykorzystania operacyjnego lub procesowego). Do

tego zamierzano wykorzystać nie tylko TW „Mikołaja”, ale także inne osobowe źródła informacji „mające pośrednią styczność” z członkami zespołu redakcyjnego radia (współpracowników Wydziału XIII Departamentu II MSW, innych wydziałów tego departamentu oraz Departamentu III MSW). Oprócz agentury planowano w tym samym celu wykorzystać inne „dostępne środki pracy operacyjnej” (technikę operacyjną, kontrolę – perłustrację – korespondencji oraz obserwację zewnętrzną). Miało to pozwolić na udokumentowanie prowadzenia przez grupę redakcyjną radia działalności politycznej, ustalenie kontaktów jej członków z „osobami prowadzącymi wrogą działalność polityczną” oraz pozyskanie nowej agentury. Ponadto wyselekcjonowani członkowie redakcji mieli „zostać poddani aktywnej kontroli operacyjnej”. Zamierzano też każdorazowo zabezpieczać operacyjnie ich wyjazdy w teren i ustalić lokalizację rezerwowego studia, którym mieli dysponować radiowcy, a które w razie potrzeby miało zostać wykorzystane do nagrywania kaset.

Po 13 grudnia 1981 r.

Tych planów – głównie ze względu na wprowadzenie stanu wojennego – nie zrealizowano, gdyż po 13 grudnia 1981 roku radio zakończyło działalność, a część z członków jego redakcji internowano. Formalnie rozpracowanie zakończono jednak dopiero w dniu 25 stycznia 1983 roku. Uzasadniano to tym, że w 1982 roku SB nie uzyskała informacji świadczących, aby pozostające na wolności osoby z nim związane dokonywały nagrań dla radiowców zakładowych. Nie bez znaczenia był też zapewne fakt, że Chlebowicz – główne źródło wiedzy SB o radiu – wyjechał w listopadzie 1982 roku z kraju. ■

dr Grzegorz Majchrzak jest pracownikiem Biura Badań Historycznych IPN



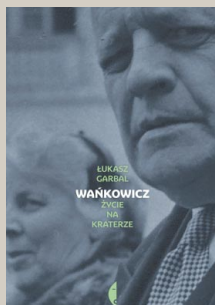
„Najder. Wywrotowiec”

Pięć lat temu odszedł od nas Zdzisław Najder – wizjoner polskiej myśli politycznej. Stało się to niemal niezauważenie. Teraz powraca. Wracają jego myśli zebrane i opublikowane przez Zbigniewa Gluzę w postaci arcyciekawej książki „Najder. Wywrotowiec”. Burzliwe życie nieprzeciętnego człowieka, jego śmiałe i twórcze myśli o Polsce podane przez wydawcę w niestandardowy sposób sprawiają, że książkę czyta się z dużym zaciekawieniem.

Nie jest to ani biografia, ani autobiografia. To kronika życia Najdera ułożona wyłącznie z jego własnych tekstów. Osnową są wspomnienia i wzruszający szczerością dziennik. Uzupełniają je wywiady i artykuły publikowane przez niego w prasie polskiej i zagranicznej. Są także teksty z „teczki” TW „Zapalniczka” pisane jego ręką. Najder żył w centrum wydarzeń politycznych i starał się mieć na nie wpływ, głównie kreśląc koncepcje działania i śmiałe wizje programowe. Gdy na początku lat 90. XX w. postulował wstąpienie Polski do NATO, wielu uważało go za groźnego wariata. Wszystkie te jego starania o suwerenną i sprawiedliwą Polskę wylaniają się w sposób najciekawszy w cytowanych w książce listach adresowanych m.in. do: Zbigniewa Brzezińskiego, Jerzego Giedroycia, Jana Olszewskiego, Zbigniewa Herberta i Leszka Kołakowskiego. Dzięki tym listom książka opowiada nie tylko o Najderze, ale także o polskiej opozycyjnej elicie intelektualnej i jej zaangażowaniu w sprawę niepodległości Polski. Pokazuje kraj widziany od wewnątrz i z perspektywy emigracji politycznej. Odsłania nieznane kulisy przejmowania przez opozycję władzy na początku lat 90. XX w. Najbardziej jednak interesowały go, jak sam wspomina, filozofia i literatura. Ale te jego naukowe zainteresowania też miały kontekst polityczny. „Conradem Korzeniowskim zacząłem się zajmować na znak protestu politycznego, bo to dla mnie jest pisarz pokolenia akowskiego, pisarz wierności, którą komuniści wyszydza. Conrad uczy nas, że choćby świat dookoła stawał się nieznosny, trzeba robić swoje, trwać przy zasadach”. Czy sam Najder potrafił trwać przy zasadach? Na to pytanie, dzięki publikacji Fundacji Ośrodka Karta, sami możemy sobie odpowiedzieć.

PM

Fundacja Ośrodka Karta, Warszawa, 2026



Łukasz Garbał

„Wańkowicz. Życie na kraterze”

To obszerna, ponad 700-stronicowa biografia Melchiora Wańkowicza – reportera i wydawcy, jednej z kluczowych postaci polskiego życia literackiego XX wieku. To dzięki niemu walki o Monte Cassino stały się „matką wszystkich polskich bitew”. Garbał pokazuje jednak nie pomnik, lecz człowieka doświadczanego przez historię: wielokrotnego uchodźcę, który stracił dom po traktacie ryskim i w powstaniu warszawskim, emigranta żyjącego w USA w trudnych warunkach. Tam „król polskiego reportażu” pracował na kurzej farmie u córki. Jego powrót do Polski w 1958 roku wielu uznało za zdradę. Dla Wańkowicza był to jednak przede wszystkim powrót do języka – jedynej przestrzeni życia, bez której nie potrafił oddychać. Szybko zderzył się z cenzurą i brutalnością władzy komunistycznej. To książka wymagająca, ale niezwykle potrzebna.

DG

Wydawnictwo Czarne, 2025



Michał Guć i Henryk Mruk

„Katalog znaczków poczt niezależnych 1970–1986”

To unikatowa pozycja kolekcjonerska dokumentująca fenomen niezależnej filatelistyki w realiach PRL. Publikacja obejmuje ponad dwa tysiące znaczków powstałych w podziemiu wolnościowym między 1970 a 1986 rokiem. W okresie stanu wojennego ich wytwarzanie, przechowywanie czy kolportaż było przestępstwem, a same znaczki stanowiły dowód prowadzenia działalności opozycyjnej. Katalog stanowi nie tylko bezcenne źródło historyczne, ale także ważny dokument kultury oporu i niezależnej twórczości w czasach PRL.

DG

Centrum Solidarności STOCZNIA w Szczecinie, 2024

biblioteka
SZEFA URZĘDU



14 lutego DEFILADA SZACUNKU

w Narodowym Dniu Pamięci Żołnierzy
Armii Krajowej



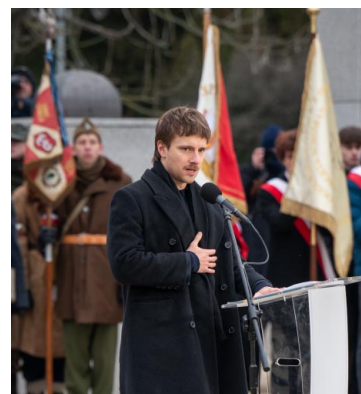
14 lutego 2026 roku po raz drugi obchodziliśmy Narodowy Dzień Pamięci Żołnierzy Armii Krajowej. Po raz pierwszy ulicami Warszawy przemaszerowała Defilada Szacunku w hołdzie bohaterom AK.

– Ważne jest, abyśmy, świadomi różnic między nami, potrafili działać razem, tak jak członkowie Armii Krajowej, nie tylko w godzinie próby, ale już teraz, każdego dnia, żebyśmy byli jako Polacy mądrzy przed szkodą. Niech dziedzictwo żołnierzy Armii Krajowej trwa w naszych sercach i niech będzie stałą inspiracją dla nas i przyszłych pokoleń Polaków – powiedział premier Donald Tusk przed Pomnikiem Polskiego Państwa Podziemnego i Armii Krajowej.



W oficjalnych uroczystościach państwowych udział wzięli między innymi: marszałek Sejmu Włodzimierz Czarzasty, marszałek Senatu Małgorzata Kidawa-Błońska, premier Donald Tusk oraz organizatorzy uroczystości – prezes Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej kpt. Janusz Komorowski i szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych Lech Parell.

Młode pokolenie reprezentował Maciej Musiał, wnuk żołnierza Armii Krajowej kpt. Mariana Markiewicza ps. Maryl.



FOT. UDSKOR (8)